Osiem stron · J. T MILIK - A. POLESKA - Z. KOSSAK · Cena 1 sh

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO - KULTURALNY

Rok IV. · Londyn, niedziela 5 marca 1950 · Nr. 10 (141)

MARIA WINOWSKA

CHRZEŚCIJANIN I ŚWIAT BEZ BOGA

POWIEDZMY to sobie jasno: Europa przekształca się zwolna i nieubłaganie w olbrzymi teren misyjny, w którym grupy **prawdziwych** chrześcijan wyglądają niby wyspy na morzu lub oazy na pustyni. Lecz wyspy podmywa zdradziecka fala, oazom grozi pustynny piach. Nie chrześcijanie są dziś na ogół w ofensywie, ale wrogowie chrześcijan. Mam tu, rzecz jasna, przede wszystkim na myśli ofensywę widzialną, namacalną, obliczalną, która wali obuchem cyfr i osiągnięć wymiernych.

W niektórych krajach, jak we Francji, w Niemczech, w Italii, statystyki są smutne, a fakty — tragicznie wymowne. Front chrześcijański załamuje się i cofa ku nowym „pozycjom strategicznym", które nie zawsze rokują przetrwanie. Zmniejsza się niepokojąco liczba powołań; w niektórych diecezjach francuskich seminaria świecą pustkami, parafie leżą odłogiem. W diecezji Tarbes i L o u r d e s (!) został w tym roku wyświęcony **jeden** ksiądz... O wiele gorzej dzieje się w Niemczech, zbierających gorzki plon wieloletniej apostazji. W Italii zbałamucone masy robotnicze są obojętne lub wrogie; w najlepszym razie zabobon ruguje religię.

Cóż zaś mówić o krajach, w których chrześcijaństwo jest zwalczane oficjalnie, programowo i wedle gruntownie przemyślanych metod? Prześladowania rodzą nie tylko męczenników, ale również apostatów. Większość chrześcijan nie jest na miarę heroiczna — powiedzmy to sobie jasno! I dlatego Kościół, który jest Matką nie tylko świętych lecz i grzeszników, zabrania modlić się o „godziny wysokich prób", gdyż cena, jaką płaci za męczenników, wydaje mu się zbyt wygórowana... W krajach za żelazną kurtyną mnożą się tacy, co są gotowi „zastawić się do krwi", lecz nie brak również katolików „postępowych", usiłujących paktować z wrogim reżimem dla nader doczesnych celów, nie brak oportunistów lub — powiedzmy szczerze: tchórzów (na których z resztą ciskać kamieniem zza ciepłego przypiecka jakoś... nie wypada).

Co gorzej, nawet wśród oficjalnych i praktykujących chrześcijan wzrasta liczba statycznych i biernych, którzy widzą w religii przywilej i rentę i starają się bez wielkiego trudu „zarobić" na niebo. Jakżeż wyblakły w świadomości przeciętnych katolików bezwzględne nakazy ewangelii! Jakżeż żachnęli by się poniektórzy słysząc że **Bóg żąda** od nich świętości (co nie znaczy wcale jako by wysyłał ich do klasztoru — jedno z klasycznych polskich nieporozumień: doskonałość to monopol zakonników i zakonnic!). Więc siadają na statycznych fotelach, pozwalają się nawet „uświęcać" (od czegóż są księża?) i wpadają w błogą „katolicką" drzemkę, gdy wokół płonie świat.

Miejmy odwagę spojrzeć prawdzie w oczy choć miałoby to nas kosztować! Prawda zawsze wyzwala, lecz za cenę wysoką, i dlatego czasami taka niewygoda! W tym wypadku zmusza nas do zajęcia wyraźnego stanowiska, co więcej, do rewizji pewnych utartych poglądów i pojęć. Domaga się odpowiedzi na pytanie: jakie winno być stanowisko chrześcijan wobec świata bez Boga?

Istnieją dwie, jaskrawo sprzeczne możliwości: izolacji lub współżycia. Chrześcijanin może się odciąć od bezbożnego świata, widząc w nim niebezpieczeństwo dla własnej duszy, albo może wstąpić weń, jak apostołowie w pogańską Romę. Pierwsze stanowisko jest bez porównania bezpieczniejsze i w pewnych indywidualnych wypadkach jedynie wskazane. Nie może igrać z ziemskim ogniem ten, w kim nie płonie ogień Boży! Ale drugie stanowisko idzie po linii Ewangelii (która zakłada ogień Boży jako znak rozpoznawczy swoich wyznawców). Po cudzie wieczernika mniej było chrześcijan na świecie, niż dziś! Oni to poszli na podbój rzymskiego imperium.

Stanowisko chrześcijan wobec „świata bez Boga" zależy w dużym stopniu od ich stanowiska wobec Opatrzności Bożej w świecie. Może być ono bądź optymistyczne, bądź pesymistyczne.

Na pierwszy rzut oka narzuca się raczej stanowisko pesymistyczne. Bóg napozór wciąż przegrywa. Zło wydaje się mocniejsze, wciąż nowe święci triumfy. Kąkol tłumi pszenicę, panoszy się bezkarnie. Czyżby Bóg był bezsilny? A jeśli Bóg nie poradzi, cóż my poradzimy? Czyż nie lepiej zamiast ryzykować w nierównej walce, zamknąć się w sobie i odciąć od świata?

Drugie stanowisko — to „po linii Ewangelii" — jest wyraźnie optymistyczne. Chrześcijanin, który wie, czyim jest uczniem i studiował ekonomię Bożą, nie dziwi się wcale, że zło święci błyskotliwe i znikome triumfy. Sprzyjają one strategii Bożej, której głównym atutem nie są hufce anielskie, bieżące z odsieczą sprawiedliwemu, **ale krzyż: My wiemy,** że na przecięciu dziejów świata Bóg osobliwy wybrał sobie tron. „Regnat a ligno Deus" śpiewa Kościół, „Bóg króluje z wysokości krzyża"! Wówczas, gdy poniósł najstraszliwszą, widzialną klęskę, największe też odniósł zwycięstwo. Wielkopiątkowa szubienica stała się zadatkiem zmartwychwstania, śmierć zwyciężyła śmierć. I to wiemy również, że Chrystus zostawił nam w spadku testament: „Nie jest uczeń nad mistrza: jeśli Mnie prześladowali, i was prześladować będą".

A więc krzyż jest niejako w naszym programie i było by bardzo smutno, gdyby go zabrakło, gdyż wówczas brakowało by na naszych ludzkich poczynaniach Bożej pieczęci. Możemy zwyciężyć tylko „przez krzyż", nigdy inaczej, i dlatego każda klęska jest dla nas zadatkiem zwycięstwa. Oczywiście dla niewierzącego, a nawet dla letniego chrześcijanina są to sprawy najzupełniej niepojęte, gdyż tak sprzeczne z poglądami, którym hołduje świat. Tajemnicy krzyża nie pojmie nikt, ktoby nie posiadł choć w drobnej mierze „umiejętności świętych": trudny to przedmiot i nie objęty żadnym uniwersyteckim programem: monopol jego zawarował sobie Arcymistrz Duch, a podręcznikiem są — kolana!

Musimy więc patrzeć na dzieje w perspektywie Bożej, która nie pokrywa się bynajmniej z punktem widzenia naszej ludzkiej krótkowzroczności. Musimy zrozumieć, że dla Boga nie ma klęsk, gdyż każda jest lub może się stać odskocznią zwycięstwa, co więcej jest jego zadatkiem. Bez Wielkiego Piątku nie ma Wielkiej Nocy, Zmartwychwstanie umożliwia Golgota! Musimy jednym słowem przyjąć w całej i niezgłębionej pełni „tajemnicę Krzyża", która nie od dziś jest zgorszeniem i kamieniem obrazy dla wielu!

„Jeśliś jest Bogiem, zstąp z krzyża"! Ale Chrystus z krzyża nie zstąpił, zaryzykował straszliwe rozczarowanie wczorajszych wyznawców, wyglądających odsieczy anielskiej. Chrystus z krzyża nie zstąpił i umarł śmiercią skazańca, w opuszczeniu nieba i ziemi...

Czymżeż zaś jest Kościół, jak nie Chrystusem przygwożdżonym do przecznic czasu i przestrzeni, jak nie „Chrystusem całym", przedłużającym życie swoje **lecz i śmierć,** swoją śmierć, **lecz i zmartwychwstanie?** Strategia Boża na Golgocie jest również strategią Bożą na dziś.

Klęski są w naszym programie, nieuniknione, a nawet konieczne. Nie znaczy to bynajmniej, jakobyśmy nie mieli poczuwać się do winy i kajać z zaniedbań i zdrad! Zło na świecie idzie w dużym stopniu na nasze, ludzkie konto. Nikt z nas nie może się wymówić: „Jam nie winien". Istnieje tajemnicza solidarność zła i grzech najsamotniejszy ma echa kosmiczne, narusza harmonię wszechświata. Wobec zła, jakie się panoszy, jesteśmy wszyscy współwinni (wiedzą o tym naprawdę i krwawo tylko —święci).

Ale zło **nie ma nigdy ostatniego słowa. Nawet grzech służy!** W przejmującym komentarzu słów świętego Pawła: „Tym co Boga miłują, wszystko na dobre wychodzi" święty Augustyn dodaje: „etiam peccata" **nawet grzechy.** Nie ma zbrodni tak szkarłatnej, która by nie mogła się stać „szczęśliwą winą i startem zawrotnej wspinaczki na Górę Błogosławieństw".

Cóż za przedziwny i rzec niemal można, **gorszący** paradoks! Rękawica rzucona naszej wierze i naszej nadziei! Gdy patrzymy na zbrodnie, na kłamstwo rozpanoszone, na podłość i zdrady — jakżeż w głowie się nam pomieścić może, że **służą** (poniewolnie) sprawie Bożej? Jak uwierzyć, że na takim gnoju rodzić się mogą kwiaty świętości i że nieraz ogrom upadku jest argumentem nawrócenia?

A jednak tak właśnie jest. A jednak taki właśnie jest fundament tajemnicy naszej wiary w Opatrzność. Nie zgłębimy jej rozumem: tajemnic się nie zgłębia, lecz przed nimi się klęka! Pod krzyżem, na którym konał Chrystus, tylko Matka wierzyła, że Piłat i Kaifasz, że Herod i siepacze służą zamysłom Bożym, są narzędziami w ręku Boga. Dla innych krzyż był tylko klęską i zgorszeniem. Nie trudno nam **dzisiaj** widzieć i oceniać owoce krzyża, poprzez wieki! Ale zbyt często zapominamy, że męka Chrystusowa trwa w Kościele, dopełniającym wciąż i wciąż, poprzez wieki, na okręgu ziemi, czego jej przed dwoma tysiącami lat „nie dostało", jak powiada święty Paweł; dlatego właśnie, że Kościół, to Chrystus **cały,** powtórzyć się w nim muszą wszystkie tajemnice życia Chrystusowego męki i śmierci.

„Le Christ sera dans l'agonie jusqu'à la fin des temps", mówi Pascal: „Konanie ogrójcowe trwa do skończenia wieków". Jakżeż to możliwe? Chrystus ciałem swym jest wciąż na ziemi. Żyje, cierpi, kona w swoich żywych członkach. Każdy chrześcijanin, cierpiąc, uczestniczy w krzyżu Chrystusowym: jakąż siłą jest świadomość tej wspólnoty, jakim bodźcem **cena krzyża!** Święty, to ten co jak mądry skąpiec eksploatuje do ostatka nieuchronne cierpienie, niby wspaniały kapitał zakładowy.

Czemuż więc, po tylu ilustracjach i lekcjach poglądowych, jakich nie szczędzą nam dzieje, widok zła i cierpienia tak zniechęca nas, przytłacza

SPRAWA MAŁEGO BRETAUDEAU

Katolicką Francję pasjonuje dziś „sprawa małego Bretaudeau", jedynego ucznia szkoły państwowej w Longeron.

Longeron jest sporą wsią francuską, nie daleko Angers i liczy 1.246 mieszkańców. Jest to wieś katolicka z przekonań. Jest we wsi duża szkoła katolicka, do której uczęszczają wszystkie — z wyjątkiem jednego — miejscowe dzieci.

Owym wyjątkiem jest dwunastoletni Bretaudeau. Jego rodzice nie chcą, by uczęszczał on do szkoły katolickiej; są oni przeciwnikami Kościoła. Wobec tego, państwo francuskie utrzymuje dla małego Bretaudeau osobną szkołę laicką w Longeron, w której wykłada nauczyciel państwowy, p. Cotillon. I budynek szkoły państwowej i osoba pana Cotillon przeznaczone są wyłącznie dla zapewnienia oświaty małemu Bretaudeau.

Jak wiadomo, państwo francuskie utrzymuje szkoły laickie z podatkowych pieniędzy. Natomiast szkoły katolickie są we Francji szkołami prywatnymi, które utrzymują się z opłat rodzicielskich i ze składek. Katoliccy mieszkańcy wsi Longeron muszą płacić podatki na utrzymanie szkoły dla małego Bretaudeau, ale swoją prywatną szkołę muszą utrzymać sami. Oficjalnie, szkoła małego Bretaudeau kosztuje, po przeliczeniu na angielskie pieniądze, 1.300 funtów rocznie. Ale mer (burmistrz) wsi Longeron, p. Mullies, twierdzi, że w istocie kosztuje ona dużo więcej.

Katolikom w Longeron sytuacja ta wreszcie się sprzykrzyła. Uchwalili oni w radzie gminnej kupić małemu Bretaudeau rower, by mógł jeździć do szkoły laickiej do sąsiedniej wsi. Ale ojciec chłopca nie zgodził się na to. Wobec tego mer, p. Mullies, oświadczył, że będzie go codzień swoim samochodem odwozić. Również i na to ojciec chłopca się nie zgodził.

Wobec tego, mer. p. Mullies złożył na znak protestu swój urząd. Wraz z nim, zgłosili dymisję również i merowie dziewięciu wsi okolicznych.

Ministerstwo Oświecenia zdecydowało jednak, pomimo tych protestów, że szkoła dla małego Bretaudeau będzie nadal istnieć! Będą na nią nadal łożyć pieniądze ojcowie tych dzieci, których szkołą Ministerstwo Oświecenia się nie interesuje bo jest to szkoła katolicka.

Sprawa chłopca Bretaudeau zaczyna budzić echo również poza granicami Francji. Londyński „Daily Telegraph" poświęcił jej (w numerze z 9 lutego) jeden ze swych trzech redakcyjnych artykułów wstępnych. Jak się tego należało spodziewać — dziennik angielski opowiada się po stronie francuskiego Ministerstwa Oświecenia przeciwko merom katolickim. Nic dziwnego: stanowisko, solidarnie zajęte przez stronnictwo konserwatywne i socjalistyczne w Anglii w sprawie szkół katolickich angielskich idzie po tej samej linii, co antykatolicka polityka władz szkolnych francuskich.

i gorszy, i to nie „ludzi obcych", lecz „domowników wiary", katolików praktykujących i nieraz gorliwych? Czemuż bez zawrotu głowy nie umiemy spojrzeć w tę czarną czeluść?

Najpierw dlatego, że zło, cierpienie jest tajemnicą, której rąbek zaledwie odsłania nam wiara. **Zniechęcenie zaczyna się automatycznie z chwilą gdy próbujemy zrozumieć.** Bóg nie uznał za stosowne wtajemniczyć nas w swoje miłościwe kalkulacje. Jeśli zło (nasze) na dobro (Swoje) obraca, jeśli z piwa, któregośmy naważyli, swoją złą zatrutą wolą potrafi dobyć życiodajny trunek trudniejszą przemianą, niż w Kanie Galilejskiej, nie **znaczy to bynajmniej**, że stosuje do poszczególnych faktów tę samą, wypróbowaną receptę, ale jest na tyle i aż tak wspaniale oryginalny, że nie powtarza się nigdy i wciąż od nowa na sztych wystawia naszą wiarę i naszą nadzieję. Gdzie byłaby zasługa, gdyby nie było próby?

Jednym z głównych powodów zgorszenia, jakie wywołuje w nas doraźne zło, jest fakt, że żyjemy w czasie i jesteśmy urzeczeni tym odcinkiem czasu, który odmierza nasze ziemskie bytowanie. Wobec krzyża aktualnego stajemy zawsze tak, jak apostołowie wobec krzyża Chrystusowego: ze zwątpieniem we Wszechmoc Bożą albo z heroiczną wiarą świętych (i apostołów po Wieczerniku); „choćbyś mnie zabił, ufać będę". **Nigdy** z ludzką świadomością, z radosnym przekonaniem, że krzyż ten ma swój sens.

Gdybyśmy ten sens widzieli, to może i krzyża by nie było! Wszak to, co jest w nim najcięższe, **to jego pozorny absurd**. Jakże pojąć, że ten, który woła: „Lama Sabachtani", „Boże, Boże, czemuś mnie opuścił?" w tej właśnie chwili odkupuje świat? Jakże uwierzyć, że kat może być dobrodziejem ofiary i niebieskim dostawcą męczeńskich palm? I że szatan jest „jak niewolnik nawadniający pustkowia", łzami i krwią?

Zaślepieni widzialnością nie rozumiemy perspektywy Bożej, która ogarnia wieki. Widzimy fragmenty historii, nigdy całość, która tłumaczy fragmenty. Gdybyśmy wobec naszej epoki mieli ten dystans, jaki mamy w stosunku do epoki Nerona, zmieniłaby się niewątpliwie nasza ocena wielu zjawisk i faktów. Ale dziś stoimy zbyt blisko obrazu. Spróbujmy obejrzeć lupą Giocondę! Dostrzeżemy mnóstwo kolorowych plamek, ale nie zgadniemy, co wyobrażają. Zależnie od perspektywy nawet arcydzieło może się wydać bezmyślnym chaosem.

Maria Winowska

J. T. MILIK

W GROCIE MANUSKRYPTÓW

RĘKOPISY HEBRAJSKIE SPRZED DWU TYSIĘCY LAT

JAK przed kilkudziesięciu laty odkrycie grobowca Tutenkhamena, podobnie dzisiaj znalezienie nad Morzem Martwym rękopisów hebrajskich, biblijnych i apokryficznych, budzi zainteresowanie powszechne.

Wystawa trzech zwojów w waszyngtońskiej Bibliotece Kongresu (23 paźdź. — 6 list. ubr.) miała wszelkie cechy sensacji dziennikarskiej. Zresztą nie omieszkano jej zaktualizować. Manuskrypt Izajasza rozwinięto na rodziale drugim, zawierającym werset: „I przekuję miecze na lemiesze, a włócznie na sierpy"...

Bezimienny pasterz z plemienia Taamire, zamieszkującego lewe pobrzeże M. Martwego jest tego znaleziska głównym protagonistą. Pewnego dnia pod koniec lata 1947 r. wybrał się, poszukując zabłąkanej owcy, w dzikie i niedostępne wąwozy i wzgórza pustyni Judzkiej. Geograficznie jesteśmy 12 km. od Jerycha, dwa od brzegu M. Martwego, cztery od źródeł Ain Feszcha, jeden od ruin Chirbet Qumran.

— Na zboczu góry, w miejscu niewidocznym z dołu, spostrzega wąski otwór pieczary. Rzuca kamieniem. Trach! coś się rozbija wewnątrz zwielokrotnionym w pustce echem. Spłoszony zsuwa się szybko i ucieka do towarzyszów „odprawujących straże swoje" w pobliżu. Wkrótce powraca z drugim pasterzem. Dodając sobie nawzajem odwagi, wślizgują się do środka groty. Skąpe światło słoneczne, sączące się szczelinami, pozwala dojrzeć kilka wielkich, obławych i pękatych stągwi z glinianymi przykrywami na wierzchu. Pod nogami chrzęszczą skorupy dzbanów ongiś potłuczonych. Zamiast złota i klejnotów chciwe ręce wydobywają okręcone płatami kosztownej materii zwoje pergaminowe, pokryte nieznanym pismem.

Pełni rozczarowania wybierają co okazalsze sztuki i niebawem wędrują do Betlejem. Znajomy antykwarjusz, muzułmanin, ogląda bez zapału poniszczone, kruche, żółtawe rodały. „Co! 20 piastrów za tę starzyznę? Gdyby jeszcze arabskie... ale nie — przygląda się uważnie — chyba syryjskie". Udali się więc do zakonników prawosławnego klasztoru syryjskiego w Betlejem, którzy odsyłają, tracących powoli nadzieję zarobku, Beduinów do jerozolimskiego klasztoru św. Marka, siedziby metropolity syryjskiego, Atanazjusza Jozuego Samuela. Ten nabywa cztery lepiej zakonserwowane rękopisy. Cztery inne, niewiadomymi drogami, dostają się w listopadzie tegoż roku w posiadanie Uniwersytetu Hebrajskiego dzięki skrzętnej zapobiegliwości prof. Eliezera L. Sukiennika.

Mar Atanazy, z wschodnim cierpliwym sprytem, wszczyna starania sprzedaży zabytków. Nie można zaniedbywać rzadkiej sposobności wzbogacenia konwentu. Po nieudanej próbie zainteresowania znalezionymi tekstami Szkoły Biblijno-Archeologicznej Ojców Dominikanów, i po przerwaniu pertraktacji handlowych z Sukiennikiem na początku 1948 r., telefonuje Metropolita 15 marca do Amerykańskiej Szkoły Orientalistycznej. Zjawia się eskortowany przez mnicha krętymi uliczkami Starego Miasta, John Trever, zastępca dyr. Szkoły, Millara Burrowsa, bawiącego chwilowo w Bagdadzie.

— Podczas porządkowania naszej biblioteki znaleźliśmy przypadkiem kilka starych zwoi hebrajskich. Może pan chciałby je obejrzeć. Mógłbym nawet ten największy — niedbały ruch ręką — dać na krótko do domu...

W kręgu lampy elektrycznej ostrożnie odwija Amerykanin część siedmiometrowego zwoju. Odsylabizowuje słowo lelo, zagląda do konkordancji i... zapierające dech odkrycie: „IZAJASZ!".

Powiadomiony natychmiast Mar Atanazy jest uradowany, pozornie, boć wie już o tym od kilku miesięcy. Dyskretna oferta sprzedaży. Trever na to:

— Czyby nie było lepiej narazie pofotografować manuskrypty? Cena ich przez to nie zmaleje, wręcz odwrotnie, wzrośnie. Ekscelencja przypomina sobie sto tys. funtów, wypłacone rzetelnie bolszewikom przez British Museum za kodeks Synaicki w 1933 r. A było to przecie w kilkadziesiąt lat po znalezieniu, a właściwie kradzieży, rękopisu i po licznych wydaniach fototypicznych.

Argumenty uczonego amerykańskiego, może ten ostatni, rozwiewają niepokoje Atanazjusza. Przez najbliższe noce i dni Trever z Brownleem fachowo i pośpiesznie fotografują trzy zwoje w podziemiach Szkoły przy milczącej asyście sennego brodacza, podesłanego na wszelki wypadek przez Metropolitę. Dopiero teraz Associated Press kabluje w świat wiadomość o sensacyjnym odkryciu. W ostatnich dniach mandatu angielskiego w Palestynie trzej uczeni American School of Oriental Research uwożą samolotem stosy barwnych klisz i starannie opakowany czwarty manuskrypt, zbyt kruchy, by dał się rozwinąć bez specjalnych zabiegów technicznych. Po zaprzestaniu działań wojennych Mar Atanazy przywozi do Stanów i trzy pozostałe. Za Izajasza zażądał w New Yorku milion dolarów.

Prof. Sukiennik studiuje swe rodały w ogniu uporczywych walk żydowsko-arabskich w Świętym Mieście. I on też aktualizuje znalezisko. Wszak jeden z kupionych apokryfów opisuje „wojnę synów światłości z synami ciemności, to jest, synów Lewiego, synów Judy i Benjamina, przeciw hordom Edomu i Moabu, synom Ammona i Filistei". Więc fraza z tegoż utworu: „Przez świętych ludu swego okaże Jahwe potęgę" mottem dla publikacji **„Zwoje ukryte w grocie pustyni judzkiej"**, więc dedykacja synowi, lotnikowi, poległemu z przyjacielem przy obronie Tel-Awiwu.

Potem przychodzą usiłowania dotarcia do groty, narazie bezskuteczne. Wprawdzie zaraz po zakupieniu zwojów wysyła mądry Mar Atanazjusz zakonnika, prowadzonego przez uprzejmych pasterzy, w pustkowia judzkie. Nie dotarł on pono do celu; jak twierdził, osłabł z powodu upału i pragnienia. I śmiali Amerykanie rezygnują z wyprawy. Sukiennikowi prezydent Ben-Gurion daje do dyspozycji oddział wojska. Profesor jednak nie chce — jak opowiadał z emfazą w hotelu Degli Ambasciatori w Rzymie — szafować krwią chłopców, potrzebnych do obrony ojczyzny. Wojna wyludnia i tak bezludną pustynię przyjordańską. Naszych Taamirczyków pobrano do Legii Transjordańskiej. „Inter arma...".

Powtórne odnalezienie tajemniczej Groty Manuskryptów jest zasługą amatorskiej pasji p. Filipa Lippensa, Belga rodem, obserwatora ONZ w Ammanie. Po długich przepytywaniach dociera do pasterzy-wojaków. Na podstawie ich informacji, z konieczności dość ogólnikowych, przeszukuje wapienne góry judzkie. Lankester Harding, dyr. Muzeum Starożytności w stolicy Transjordanji, i O. de Vaux, rektor Jerozolimskiej Ecole Biblique-Archéologique, pod osłoną karabinów Abdullaha w dniach od 15 lutego do 5 marca 1949 r. przetrząsają systematycznie, piędź po piędzi, kilkunastocentymetrową warstwę miałkiego gruzu, aż do skalnej calizny. Napełniają kosze skorupami pobitych naczyń. Łowią delikatnie szczypczykami, choćby najdrobniejsze, okruchy i fragmenty pergaminowe i papirusowe. Jest ich około 600. Zaraz wszakże po przybyciu zauważono, że przed kilku miesiącami grasowali w pieczarze nieznani szabrownicy. Strzępy gazet żydowskich, niedopałki papierosów, zgubiona cygarniczka, świadczą o fakcie, oburzającym Anglika i Francuza.

Nie po raz pierwszy pochylili się ludzie nad zapomnianymi księgami w 1947 r. Stągwi, jak wynikło z obliczenia skorup, było bodaj z 60. Tymczasem manuskryptów, jako tako zachowanych znaleziono tylko osiem. Fragmentaryczne resztki innych zwojów wskazują na wielkie zasoby księgozbioru. Co się z nim stało? Być może, utajone przez Arabów, Syryjczyków czy Żydów, wypłyną po latach na „czarnym rynku" antykwarskim, jak to się zwykle dzieje z papirusami wygrzebywanymi z suchych piasków Egiptu, Harding i de Vaux stwierdzili jednak ponad wszelką wątpliwość, że szabrowano grotę w bardzo odległej przeszłości. Lampka i nadbity garnczek o charakterystycznych kształtach i zdobinkach przenoszą nas w czasy rzymskie. Podejrzenia kierują się w stronę czcigodnego i uczonego Orygenesa, który w kolofonie 6. kolumny swych Heksapli (zestawione paralelnie hebrajski tekst i 4 tłumaczenia greckie Pisma Św.) informuje: „Szósta edycja, znaleziona wraz z innymi hebrajskimi i greckimi księgami w dzbanie niedaleko Jerycha za panowania Antonina syna Sewera".

Było to w r. 217. Zapewne wielki Aleksandryjczyk, najznakomitszy filolog chrześcijańskiej starożytności, rozsyłał suto opłacanych agentów w poszukowaniu starych rękopisów Biblii greckich i hebrajskiej. Ci, myśliwskim węchem, śladami skąpych i niewyraźnych napomknięć Żydów palestyńskich, dotarli do skarbów odległej jaskini. Przy migocącym światełku oliwnej lampki wprawnie przerzucili zawartość glinianych zbiorników. Wybrali manuskrypty greckie, wzięli kilka hebrajskich, reszty poniechali. Przedsiębiorczy poszukiwacze (drugiego odkrycia dokonali pod Akcjum w Grecji) nie rozgłaszali sukcesu i dopiero znów przypadek, całkiem podobny do współczesnego, ujawnił bibliotekę około 750 roku. Oto co pisze uczony egzegeta, patriarcha Nestoriański Tymoteusz I, w liście, wytworną syryjszczyzną skreślonym, do metropolity Elamu, Sergiusza:"

„Dowiedzieliśmy się od wiarogodnych Żydów, których jako katechumenów uczono wówczas prawd chrześcijańskich, że przed 10 laty w pobliżu Jerycha znaleziono księgi w domku między górami. Mianowicie, myśliwski pies pewnego Araba, ścigając zwierzynę, wpadł do pieczary i nie wychodził. Pan jego nadszedł niebawem i znalazł wśród skał domek, a w nim wiele ksiąg. Myśliwy udał się do Jerozolimy i powiadomił o tym Żydów. Ci wyszli tłumnie z miasta i znaleźli księgi Starego Testamentu oraz inne spisane po hebrajsku... (Patiarcha listownie prosił o sprawdzenie kilku wersetów biblijnych)... Jednakowoż na moje pisanie nie otrzymałem od nich żadnej odpowiedzi w tej sprawie. A nie mam znów odpowiedniego człowieka, którego bym mógł wysłać. Jest to dla mego serca jak ogień, co w kościach moich pali się i żarzy".

Nietrudno się domyślić, dlaczego informatorzy Mar Tymoteusza milczeli. Rabini jerozolimscy sprawdzili szybko, że znalezione księgi kanoniczne... — nie zgadzają się z ustalonym od wieków oficjalnym „textus receptus" Biblii hebrajskiej. Co gorsza, były tam i liczne apokryfy, zgoła niebezpieczne dla wiernych i herezją trącące. Więc szybka jednomyślnie podjęta decyzja: autodafe i sprzysiężenie milczenia.

Nic zatem dziwnego, że gdy po 12 wiekach weszli ludzie do groty, znaleźli tylko skromne resztki przebogatego księgozbioru z 2 wieku przed Chrystusem.

J. T. Milik

ALEKSANDRA POLESKA

MAGICZNA LATARNIA

STULECIE URODZIN L. S. STEVENSONA

GDYBY tak zrobić ankietę wśród czytelników w Europie i Ameryce i postawić pytanie: „którą książkę dzieciństwa wspominają najczulej?" — dwie napewno wysunęłyby się bezapelacyjnie na czoło: „Robinson Kruzoe" i „Wyspa Skarbów". Tuż za nimi znalazłyby się prawdopodobnie powieści Marryata i Fenimore Coopera — wciąż krążymy w orbicie autorów anglosaskich, Francja bowiem nic nie dała do pokoju dziecinnego poza Vernem, a wspaniała powieść Sienkiewicza: „W pustyni i w puszczy" jakoś się na zachodzie nie przyjęła. Tak więc pojedynek o pierwszeństwo rozegrałby się między Stevensonem i Defoe. I kto wie, czy „Wyspa Skarbów" nie wyszłaby zwycięsko.

Możnaby dużo mówić o jej zaletach ściśle literackich, ale główny jej czar leży w tym, że owiana jest szerokim oddechem morza, i to morza przemierzanego pod piracką banderą, że tętni niespokojną przygodą, której tło zmienia się jak w kalejdoskopie. Prawda, że akcja „Robinsona" też rozgrywa się częściowo na morzu, ale pomimo geniuszu narracyjnego Defoe — „Robinson" zawsze wydawał nam się raczej książką dla dorosłych. Zbytnie zamiłowanie do dydaktyzmu razi młodzież, a właśnie u Defoe stale widoczny jest palec Boży nad bohaterem — raz karzący, to znów nagradzający, akcja chwilami ustaje, aby zrobić miejsce moralizatorskim kazaniom. U Stevensona nie ma chęci nauczania, budowania młodzieży — jest tylko wspaniałe poczucie, że życie jest jedną wielką, niekończącą się przygodą, że z przeciwności wychodzi się zwycięsko, o ile tylko nie zabraknie odwagi i energii do stawiania czoła niebezpieczeństwu. Jeśli chciało by się zrobić porównanie z dziedziny malarstwa, to można by powiedzieć o Defoem, że wizje jego są podobne do czarnych o ostrych konturach rysunków na białym tle — a raczej nawet do ilustracyj biblijnych w wydaniu protestanckim, podczas gdy Stevenson ma płótna tak wielkie i zapchane postaciami jak Matejko, a paletę równie barwną jak najwięksi malarze Odrodzenia.

Stevenson urodził się sto lat temu w Edynburgu, w tym pięknym lecz posępnym mieście, w rodzinie o głębokich tradycjach presbiteriańskich, która od wielu pokoleń zajmowała się budowaniem latarni morskich. W szkole uważany był za miernotę, on sam mówi o tym tak:

„Poprzez całe moje dzieciństwo i młodość miałem opinię leniucha. W rzeczywistości jednak nie było człowieka bardziej zajętego ode mnie, gdyż pracowałem nad spełnieniem moich zamiarów, to znaczy nad tym, aby nauczyć się pisać. Stale w kieszeni nosiłem dwie książki: jedną do czytania, a drugą dla robienia notatek. Gdy przechadzałem się napozór bezczynnie, mózg mój zajęty był intensywnym szukaniem odpowiednich słów, aby opisać to, na co patrzyłem... Tak więc, dosłownie żyłem słowami... Nie tylko dlatego, że chciałem zostać pisarzem, ale przede wszystkim z tego powodu, że przyrzekłem sobie nauczyć się sztuki pisania i kusiło mnie, aby osiągnąć w niej doskonałość..."

Robert szybko uciekł na kontynent od hipokryzji i nudy rodzinnego miasta. Paryż miasto poetów i malarzy olśnił go zrazu bogactwem barw i nastroju; później dopiero poczuł, jak trudno oddychać w jego klimacie. Był to czas, gdy na życiu intelektualnym stolicy świata legł olbrzymi cień Szopenhauera, gdy dekadencki pesymizm uchodził za jedyny dozwolony światopogląd człowieka, który chciał mieć przyszłość w literaturze. Ale nardy Szkot nie dał się unieść prądowi. Drażnił go tłum drugorzędnych poetów, co gęsto obsiedli kawiarnie, aby zapewniać się nawzajem o bezwartościowości pisania i wogóle istnienia. Stevenson za wiele miał radości życia, aby z czegokolwiek rezygnować. Paradoksalne było to, że przy zdrowiu nadwątlonym dziedziczną chorobą płuc był w rzeczywistości sto razy bliższy śmierci, aniżeli ci jego towarzysze, którzy stale utrzymywali, iż tęsknią do nicości, gdyż życie zbyt jest tragiczne, aby je można znosić. Nieprodukcyjność twórcza i niekończące się dyskusje filozoficzne, tłumy dekadenckich pozerów, poddające się przemijającej modzie bez cienia odruchu buntu! — to za wiele jak na dobroduszną trzeźwość mieszkańca północy. W najkrótszym nawet życiu — myślał Stevenson męczony atakami kaszlu — jest zawsze czas na miłość i śmiech, a nie tylko na cierpienie i śmierć. „Glad did I live and gladly die" — gotów był zawsze powtórzyć, patrząc z zachwytem wokół siebie i usiłując przeniknąć wzrokiem tajemnicę tego świata, który go otaczał, a który nie wydawał mu się ani tragiczny ani bezsensowny, a tylko pociągający i pełen ponęty.

Stevenson wymknął się przyjaciołom. Nie ruszając się z Paryża, uciekł do krainy bajki i niemożliwości, gdy na tarasie jednej z kawiarń rozpoczął pisać „Wyspę Skarbów", a potem „Noce Arabskie". Ustami księcia Florizela z „Klubu Samobójców" pożegnał się ostatecznie z tym środowiskiem, mającym tyle błyskotliwości, a żadnej siły i woli do walki. Bohaterów swych wyposażył w energię, upór i szaleńczą odwagę, jakby chcąc sobie wynagrodzić strupieszały świat. Myślał może z goryczą, pisząc ostatnie zdania książki, że czas jaki zmarnował w Paryżu będzie już nazawsze stracony, i że poza dwoma niewielkimi tomikami nic z niego nie zostanie. Mylił się jednak. Codzienne kontakty z malarzami dały mu bajeczne wyczucie koloru, jego sylwetki powieściowe pojawiają się jak by zdjęte żywcem z obrazów. Dbałość o szczegół kostiumowy jest tak wielka, że chwilami przypominają teatr marionetek. Mają ich żywość, barwę i podobnie jak kukiełki — widzialne są właściwie tylko od jednej strony, od strony opowiadania. O ich przeszłości nic nie wiemy, nie domyślamy się nawet — dość że są, gdy autor je przywołuje, i że zaludniają jego scenę w sposób jednocześnie szumny i subtelny, buchający kolorem, a jednak stonowany dobrym smakiem autora, gwarny, ale także chwilami aż dźwięczny od przejmującej ciszy. Pomimo że Stevenson w trzech słowach tak potrafi opisać człowieka, iż mamy wrażenie, jakbyśmy go znali całe życie — to jednak nasza wiedza jest jednostronna, ograniczona tylko do wymiarów konturowych.

Po okresie paryskim, pożegnanym nowelą o życiu François Villon pt. „Nocleg", rozpoczyna się faza podróży. Pierwszym przystankiem jest Kalifornia, dokąd podąża za swoją ukochaną — Mrs. Osbourne — i po przeprowadzonym rozwodzie bierze z nią ślub. Małżeństwo było szczęśliwe, bo Stevenson wyznawał trzeźwą filozofię życiową: „Skoro raz się ożenisz, to nie pozostaje ci nic innego jak być dobrym". Następne opowiadania pisane są głównie dla jej dzieci, starszego chłopca dopuszcza nawet do pewnego rodzaju humorystycznego współautorstwa, umieszczając jego nazwisko obok swego na okładce książki. Po wydaniu romantycznej opowieści „Książę Otto" Stevenson zabiera się do tematu, jaki dawno go pasjonował: sukcesji Stuartów i szkockiej walki o niepodległość. Pod palącym niebem Ameryki zatęsknił nagle do różowych wrzosowisk i mgły porannej, powlekającej srebrem rodzinny krajobraz.

Wynikiem tej tęsknoty były najlepsze jego powieści, oparte na autentycznych wątkach z życia highlanderów, pisane częściowo gwarą galicką: „Uprowadzony", „Catriona", „Weir z Hermistonu" (niedokończona) i arcydzieło pomysłu „Pan Ballantree". Jeżeli ktoś ma czas na przeczytanie tylko jednej książki Stevensona, to powinien wybrać „Pana Ballantree". Ta przejmująca historia dwóch braci, których nienawiść i poczucie wzajemnie wyrządzonej krzywdy złączyły silniej niż węzły krwi, którzy stale do siebie wracają, gnani jakimś niezrozumiałym przymusem, aby ranić się śmiertelnie — a wreszcie umierają w tej samej godzinie i zostają pochowani w tym samym grobie — powieść ta mimo technicznych usterek jest tak niepokojącą, że kto raz ją przeczytał, nigdy już o niej nie zapomni. Tu autor wznosi się na wyżyny metafizyczne, aby z surowym uśmiechem wyczytać na posępnym niebie, rozciągającym się nad Ballantree, przykazanie, że nawet pokrzywdzony człowiek nie ma prawa do nienawiści, że jedynie miłość może wygrać z nią walkę, a zło moralne nie da się zwyciężyć innym złem. Historia spowita jest niezwykłym nastrojem, w którym pierwiastki fantastyczne i realne przeplatają się ze sobą, jakby chciały zaświadczyć, że mieszanina mistycyzmu i trzeźwości jest specjalnie charakterystyczna dla szkockiej mentalności.

Zainteresuje nas postawa jaką Stevenson przybiera, mówiąc o bohaterskiej przeszłości swego podbitego kraju. Zdziwi nas może, że jego stosunek do tak bolesnej sprawy jest chłodno obiektywny; trzeba sobie uprzytomnić, że żył on wtedy, gdy imperium stało u szczytu potęgi, a Szkocja obficie korzystała z pieniężnych i prestiżowych korzyści, jakie jej dawał fakt należenia do Wspólnoty Narodów. Tak więc Stevenson szczerze przyznaje przewagę cywilizacyjną i rację rozumową Whigom, tj. angielskim zdobywcom, zaś Jakobitom, tj. patriotom szkockim, oddaje słuszność moralno-uczuciową. Istnieje tu niewątpliwie pewien rys, bardzo brytyjski, stosunkowo łatwego godzenia się z nieodwołalnym. Dla nas Polaków, problemy sprzed niecałych 200 lat są ciągle jeszcze żywe — dla Stevensona należą już do zamierzchłej przeszłości i nie warto ich odgrzebywać. A może po prostu łatwe przyznanie racji stronie zwycięskiej pochodzi stąd, że postawa buntowniczego pesymizmu była mu obca i nienawistna jeszcze od czasów paryskich? A może kwestia religijna miała tu wpływ większy, niż sam się domyślał, bo Stevenson protestant z wychowania, jeśli nie z przekonania, musiał patrzeć na swych katolickich przodków z rodzajem łagodnego pobłażania? Tak czy inaczej potrafił docenić ich bohaterstwo i uwiecznił z talentem ich dzieje. Że zaś dane mu było patrzeć na przeszłość historyczną ojczyzny z miłością tylko, a bez rozpaczy — tego możemy mu tylko zazdrościć.

Na czym polega bajkowość książek Stevensona? Przede wszystkim na tym, że widzi on świat jakby oczami dziecka, dorosłego dziecka, wyposażonego w instynktowną, a nieoczekiwaną znajomość ludzi i mądrość życiową. Dziecko jedynie zdolne jest czynić obserwacje w taki sposób, że sylwetki ludzkie przybierają nadnaturalne wymiary, rozsadzające prawie ramy prawdopodobieństwa. Dziecko tylko patrzy z wiecznym zdziwieniem, i poczuciem wszystko osłaniającej tajemnicy, sprawiającej, że najbardziej codzienne wydarzenia przybierają rozmiary olbrzymiej groteski czy fantasmagorii. Pisarz posiadał specjalny typ wyobraźni, która łatwo czepia się rekwizytów zewnętrznych, ale zamiast tworzyć z nich symbole, pozostawał na stałe pod ich urokiem. Kształty widzialne jak miecz, kość ludzka, skrzynka ze skarbami — miały u niego przywilej rozrastania się tak nieproporcjonalnego, że znajdowały się zawsze na pierwszym planie opowiadania. Być może było w tym jakieś podświadome wyżywanie się chronicznego inwalidy, odsuniętego od prawdziwego życia, dla którego przedmioty ostre i niebezpieczne miały szczególną ponętę. W każdym razie jego sposób pisania przypomina natrętnie bajki, bo w nich zawsze więcej chodzi o to, kto znajdzie złotą kulę lub posiędzie zaczarowany dywan, niż co się stanie z człowiekiem. Właściwymi bohaterami „wyspy skarbów" nie są piraci, którzy skarbu szukają, ale mapa, kryjąca w sobie tajemnicę niezmierzonych bogactw.

Tyle co do techniki. Ale myliłby się ten, ktoby przypuszczał, że postacie Stevensona nie mają do powiedzenia nic więcej niż 10-letnie dzieci. Autor był z przekonania i wierzeń łagodnym poganinem, ale jego świat książkowy żyje wyraźnie w orbicie chrześcijańskiej etyki. Jedna z jego najbardziej znanych nowel: „Dr. Jekyll i Mr. Hyde", która jest owocem rozmyślań nad dwoistością natury ludzkiej — zawiera bardzo prawowierny morał, że człowiek, choćby nie wiem jak chciał, nie ucieknie przed swym sumieniem. Jej mottem mogłoby być powiedzenie: „There is a man within me that is my enemy" — moje sumienie jest moim największym nieprzyjacielem. Nowela ta jest dojrzałym i jednym z ostatnich dzieł jego krótkiego życia, którego schyłkowe lata upłynęły wśród kolorowych ludów mórz południowych.

W chwilach szczególnego uczuciowego napięcia Stevenson pisał wiersze. Czując, że śmierć się zbliża, ułożył dla siebie napis na nagrobek, idąc w tym za modą literacką, która kazała to samo o parę wieków wcześniej zrobić Szekspirowi. Zawierał on słowa skreślone z wielką prostotą i bez łzawego rozczulania się nad losem, który kazał autorowi zejść ze świata, gdy nie miał jeszcze lat 44:

„Home is the sailor, home from sea
and the hunter is home from the hill"
(powrócił żeglarz z morza,
a myśliwiec z gór).

Te jeśli nie ostatnie, to w każdym razie z namysłem wybrane słowa wskazują na coś więcej, niż na ukrytą żyłę uczuciowości, biegnącą podskórnie w jego dziełach. Wyraził w nich swój stosunek do życia, które tak pięknie widział i opisywał; w obliczu zagłady dał wyraz swojej wierze, że rzeczywistość widzialna nie jest ostatecznym wyrazem wszechświata, że w gruncie rzeczy należymy do innego wymiaru, pomimo, iż przez czas jakiś wolno nam kręcić się po scenie oświetlonej magiczną latarnią.

Aleksandra Poleska

WŚRÓD NOWYCH KSIĄŻEK

Vernon Bartlet odbył długą podróż po krajach opanowanych przez Rosję. Żelazną kurtynę przekroczył w Trieście, po czym objechał Jugosławię, Bułgarię, Węgry, Austrię, Czechosłowację, Polskę i Finlandię. Owocem tej podróży jest wydana świeżo książka pt. „East of the Iron Curtain" (nakład Latimer House, cena 8/6). Do wrażeń osobistych dodał autor dwa rozdziały o Rumunii i Albanii, napisane na zasadzie opowiadań i źródeł pośrednich. Najbardziej uderzającym rysem życia w tych krajach jest, zdaniem Bartleta, beznadziejne ujednolicenie wszystkiego. Są to kraje posępne, pedantyczne, żyjące w ciągłym strachu. Bartlet, choć sam przeciwnik nacjonalizmu, wyraża pogląd, że jedynym ratunkiem dla tych nieszczęśliwych narodów jest wzrost prądów nacjonalistycznych. Nacjonalizm uważa za zło mniejsze, które należy wybrać. Oczywiście myli się: jedyna przyszłość krajów Międzymorza leży w federacjoniźmie scementowanym elementem słowiańskim. Angielski autor nie rozumie, że nawet to zglajchszaltowanie, nawet obecny ucisk mogą stać się ziarnem przyszłego wspaniałego rozwoju. W naturze Słowian, a zwłaszcza Polaków leży to, że godzą się między sobą, współpracują i tworzą wielkie rzesze właśnie w nieszczęściu i pod wpływem zewnętrznego nacisku. Bartlet poświęca Polakom bardzo ciepły ustęp swej książki. „Mimo oczywistego, straszliwego braku pomieszczeń mieszkalnych — pisze o Warszawie — ludzie odbudowują cegła po cegle kościoły i pałace Warszawy w takim kształcie, jaki nadały im czasy wielkości przed trzema rozbiorami pod koniec XVIII wieku. Nigdy i w żadnym innym kraju nie widziałem tak imponującej manifestacji ducha narodowego". Dobrze powinni sobie zapamiętać te słowa napewno niesklonnego do egzaltacji cudzoziemca ci Polacy na emigracji, którzy gardzą każdym osiągnięciem w Polsce i nawet martwią się, że „bolszewicy zbudowali" linię W-Z w Warszawie.

*

Ukazała się książka E. R. Stettiniusa pt. „Roosevelt and the Russians", będąca obroną prezydenta Roosevelta w najhaniebniejszym punkcie jego kariery: w przedmiocie Jałty. Teza Stettiniusa brzmi, że obecne ataki na amerykańskiego prezydenta nie są sprawiedliwe, bo opierają się na późniejszej znajomości wydarzeń, których inicjator Jałty nie znał i nie mógł znać w momencie zawierania nieszczęsnego traktatu. Sytuacja wojenna — jak ją widział Roosevelt (a także Churchill) przedstawiała się wówczas rzekomo bardzo kiepsko, a Stanom Zjednoczonym, które nie miały jeszcze bomby atomowej, zależało na wciągnięciu Rosji do wojny z Japonią. Dzień po dniu opisuje Stettinius narady, bankiety i targi w Jałcie, nie opuszczając nawet treści toastów. Sprawozdawca tygodnika „The New Statesman and Nation", poseł H. S. Crossman w bardzo delikatnej krytyce wytyka kilka błędów Roosevelta, których nie można usprawiedliwić nawet w świetle faktów opublikowanych przez Stettiniusa. Oburza się na decyzję rozczłonkowania Niemiec (sic!), uważa za katastrofalne wstrzymanie po Jałcie dostaw Lend-Leas'u i potępia obietnicę Roosevelta wycofania wojsk okupacyjnych z Niemiec w ciągu dwóch lat po zakończeniu wojny, nazywając to tryumfem izolacjonizmu amerykańskiego. Rzecz charakterystyczna, że ani Stettinius, ani jego socjalistyczny, bardzo łagodny krytyk ani słowem nie wspominają o stronie etycznej sprawy — obaj obracają się w absolutnej próżni moralnej i zdają się uważać za oczywiste, że najobrzydliwsza zdrada pierwszego sprzymierzeńca może być rozpatrywana tylko w kategoriach kalkulacji politycznych i kupieckich.

ZOFIA KOSSAK

ŚWIĘCI

...spowiadam się Bogu Wszechmogącemu w Trójcy św. Jedynemu, Błogosławionej Marii zawsze Dziewicy, Błogosławionemu Michałowi Archaniołowi, Błogosławionemu Janowi Chrzcicielowi, Świętym Apostołom Piotrowi i Pawłowi, wszystkim Świętym...

— — — — — — — — — —

...wczoraj mieliśmy Apolonii i Cyryla... Nie! św. Scholastyki... Też imię! Kto to był?... Kiedy żyła?...

— — — — — — — — — —

...jestem strasznie zmartwiona, zgubiłam zegarek... Nie mam pojęcia gdzie, ale już prosiłam św. Antoniego i mam nadzieję, że mi pomoże. On jest niezawodny...

— — — — — — — — — —

...nie pojadę dzisiaj, bo plakietka ze św. Krzysztofem oderwała się i musiałam dać ją do naprawy. To śmieszne, ale nie lubię wyjeżdżać nie mając św. Krzysztofa w wozie...

— — — — — — — — — —

...niech pani rozpocznie nowennę do św. Tereski. Bóle napewno ustaną, a w każdym razie uzyska pani siłę do ich zniesienia...

— — — — — — — — — —

...strasznie ryzykujesz! Nie boisz się!? Jeśli nakryją...

— Nie boję się. Jestem pod opieką św. Judy Tadeusza, Patrona spraw za niepodobne uznanych...

— — — — — — — — — —

...dziwaczny typ... Wyobraź sobie, przyznał mi się, że ma ambicje zostania świętym...

— Od dziecka był pomylony. Ja podobnych ambicji nigdy nie miewałem. Świętość to nie dla mnie. Wolę być zwykłym, normalnym człowiekiem.

— Ja też.

— — — — — — — — — —

Kimże są, jaką rolę spełniają na Niebie i na ziemi Święci, przed którymi spowiadamy się z win naszych, którzy patronują imiennikom, dniom i czynnościom, strzegą wozów, odnajdują zgubione rzeczy, ratują w śmiertelnym niebezpieczeństwie, przynoszą ulgę w chorobach, a do których rzadko pragniemy być podobni?

Kult Świętych jest stary jak Kościół sam. Narodził się samorzutnie z czci oddawanej szczątkom Męczenników. Pierwsi Święci to wyłącznie Męczennicy. To ci, co oparli się pokusie łatwej apostazji, (sprowadzanej nieraz do symbolicznego gestu rzucenia ziarnka kadzidła w kierunku posągu bóstwa), konali z pieśnią na ustach, rzucani na rozpaloną kratę stwierdzali z humorem, jak św. Wawrzyniec: Obróć mnie, bo się już należycie przypiekłem z tej strony... — mówili za św. Ignacym z Antiochii: Jestem pszenicą Bożą. Stanę się dobrym chlebem dopiero gdy mnie zmielą zęby lwów... To niewiasty, jak św. Perpetua, co konając, porwana na strzępy, usiłowała mdlejącymi dłońmi upiąć potargane włosy, gdyż: — Nie godzi się iść w chwałę jak płaczka z rozpuszczonymi włosami... — to nieletnie dziewczątka, Agnieszki, Krystyny, biegnące radośnie ku katom mającym otworzyć im wrota wieczności; — panny mądre i czyste, Cecylie, Agaty, uśmiechające się jeszcze po śmierci...

Świat pogański patrzył na te zgony ze zdumieniem i nie dziw, że w gronie Męczenników tak wielu jest nawróconych katów, tkniętych Łaską dozorców więziennych, stróżów areny, setników, żołnierzy. Świat pogański znał waleczną śmierć przyjętą z żołnierskiego obowiązku; śmierć stoicką, spowitą w pogardę dla życia, śmierć epikurejską odrzucającą byt jak dopitą czarę. Nie znał i nigdy dotychczas nie widział śmierci tryumfującej, śmierci po której następuje zmartwychwstanie. Krwawe, straszliwe, wspaniałe świadectwo składane ochotnie Bogu przez wyznawców Chrystusa, działało urzekająco na świat pozbawiony nadziei. I posiew Bożej pszenicy rósł, rósł aż ogarnął ziemię.

Nie dziw też, że współwyznawcy otaczają stałą czcią Męczenników i groby. Z grobów tych biła moc. Niejeden bliski odstępstwa poczuł przy zwłokach przyjaciela nowy przypływ wiary i skonał nieustraszenie wyznając Jedynego Boga. Niebawem ujrzano żywsze dowody nierozerwalnej łączności zmarłych z żywymi, Świętych obcowania: Przy grobach Męczenników jęły się dziać c u d a. Świadectwu złożonemu przez Sługi Boże, Pan przyświadczył najwymowniej: cudami.

Zrazu sądzono że moc cudowna przywiązana jest do prochów Męczennika i to przekonanie zrodziło graniczący nieraz z przesadą kult relikwii. Walczono o święte szczątki, wykradano je, rozdrabniano. Lecz wprędce stało się jawne, że duch tchnie kędy chce, nie skrępowany miejscem stałego pobytu, że Święci nie są lokalni lecz uniwersalni, a Chwała Kościoła własnością każdego wyznawcy.

Spontanicznie wyrosły kult Świętych mógł zawierać pewne niebezpieczeństwa dla czystej nauki Kościoła. Świeżo nawróceni chrześcijanie wychowali się wszak w bogatym Panteonie pogańskim, gdzie niezliczone drobne bóstwa i półbóstwa posiadały większe znaczenie, niż główny Olimp, w który nikt nie wierzył. Neofici porwani w tryby trudnej, surowej wiary, stawiającej wymagania nadludzkie, mogli więc ulec pokusie wykrojenia sobie w niebosiężnej kopule zacisznego kąta z ulubionym Świętym jako opiekuńczym bóstwem domowym, zastępującym Stwórcę. Jeżeli dziś, po dwu tysiącach lat chrześcijaństwa, zdarzają się przejawy kultu Świętych tchnące fetyszyzmem, o ileż łatwiej mogło to nastąpić wówczas!

Jakoż błędne pojmowanie kultu Świętych znalazło wyraz w niektórych dziwacznych herezjach, lecz Kościół nie dopuścił nigdy do zejścia z właściwej płaszczyzny. Dogmat Świętych obcowania ustalał jasno zasięg i charakter czci winnej Świętym. Święci nie posiadają mocy sami przez się. Są orędownikami, intercessorami śmiertelnych przed tronem Boga. — Zmiłuj się Panie nad nami, — pisze Euzebiusz z Cezarei, — przez zasługi Świętych Twoich... — Bądź nam obroną dla prośby ich. „Święci nie są bogami“, — zapewniał św. Cyryl z Aleksandrii: „Miłujemy ich i podziwiamy, gdyż wskazują nam drogę ku Panu“... — Św. Efrem: Wspomnij, o Boże, na łzy które wylewałem u grobów Męczenników za wiarę... Św. Augustyn: Uczmy się od Świętych naśladowania Chrystusa. Święty Ambroży: Święci są świadkami naszej słabości, którą dzielili, będąc z natury grzesznymi jak my. Przezwyciężyli słabość i przodują nam... Św. Jan Damasceński: Orędownicy nasi, stanowiący żywe świątynie Ducha świętego.

...Gwiazdy dla przewodnictwa nam zatlone. bracia starsi, srodze utrudzeni żeglarze ninie bezpiecznej przystani zażywający, dobrodzieje nasi, domownicy Nieba... — nazwie w wiele wieków później Świętych ks. Piotr Skarga.

(...żywe świątynie Ducha św.... — Każdy chrześcijanin nie jest że obowiązany stać się podobną świątynią? Takie zalecenie przyjmują w imieniu nowochrzczeńca chrzestni rodzice. Zatem Święci byliżby po prostu chrześcijanami, wykonującymi wiernie swe zobowiązania względem Boga, a chrześcijanin rezygnujący ze świętości byłżeby podobny żołnierzowi mówiącemu: walka i zwycięstwo to nie dla mnie, — zawodnikowi zastrzegającemu się z góry, że nie liczy na dojście do mety?)

Prześladowania chrześcijan ustały, Kościół zwyciężył pogaństwo. Bazyliki stanęły nad grobami Męczenników. Czyż lista Świętych miała pozostać zamkniętą? Wiara rosła, pogłębiała się, cnoty kwitły. Niebo ukazywało wielu sercom chwałę jakiej oko nie widziało, ucho nie słyszało i zrozumiano, że należy ustalić inne kryteria świętości niż śmierć. Że trzeba wprawdzie potężnego zrywu wiary by skoczyć ochotnie w płomienie, lecz cierpliwe, długoletnie, konsekwentne realizowanie

ŁASKI ROKU

W PISMACH naszych w każdym niemal numerze, zarówno w „ŻYCIU“ jak i w „Gazecie Niedzielnej“ podajemy wiadomości o Roku Świętym. Jak wiadomo Instytut Polski Akcji Katolickiej przygotował szereg świetnie pomyślanych 14 i 9 dniowych pielgrzymek z Anglii, autobusowych i kolejowych. Pierwsza wyrusza w kwietniu, na następną majową jest już wiele zgłoszeń. Niektórzy z Polaków pomyśleli o swych ubogich braciach, którzy chcieliby pojechać do Rzymu a brak im środków i przysyłają, przy zamawianiu miejsca dla siebie, ofiary pieniężne na ten cel.

Przewodniczący Komitetu Organizacyjnego pielgrzymek polskich X. H. Kornacki dziękuje za naszym pośrednictwem wszystkim dotychczasowym ofiarodawcom i zwraca się do tych, których stać na to, aby w miarę możliwości wpłacali pewne kwoty na opłacenie udziału w pielgrzymkach najbiedniejszym.

Proszono nas z paru stron o podanie do wiadomości jakie łaski są dostępne dla pielgrzymów i jakie są ich warunki. Pragniemy tu odpowiedzieć na te pytania.

Jak wiadomo, najpierw to przypominamy, obecny Rok Święty jest Jubileuszem jubileuszowym. Jest to 25 z rzędu Jubileusz zwyczajny w dziejach Kościoła.

(Oprócz Jubileuszów zwyczajnych, ogłaszanych z razu co 50 lat począwszy od roku 1300. a potem co lat 25 mieliśmy 43 Jubileusze nadzwyczajne. Za Piusa XI np. oprócz Jubileuszu zwyczajnego w r. 1925 były także dwa nadzwyczajne: w roku 1933 Jubileusz Odkupienia i dwutygodniowy Jubileusz z okazji zawarcia układów lateraneńskich).

Zapowiedzią ostatniego Roku była wydana na Boże Narodzenie 1948 r. modlitwa, ułożona przez Ojca św., a zaopatrzona w odpust 7 lat za każdym odmówieniem, a przy codziennym odmawianiu można uzyskać odpust zupełny raz w miesiącu. Modlitwa ta rozesłana do wszystkich krajów katolick. przygotowywała umysły ludzkie do Roku Św., a niebo skłaniała do zesłania obfitych łask na dusze, które jej pragną.

Zawiera ona dziękczynienie za łaskę roku św., prosi o skuteczność głosu Bożego, by przez uświęcenie wewnętrzne rok ten był rokiem wielkiego powrotu i wielkiego przebaczenia. Prosi o Ducha Mocy dla cierpiących dla sprawiedliwości, o pomoc dla całej hierarchii kościelnej, by w łączności duchowej z wiernymi stworzyli silną opokę ducha. Prosi o miłość wobec pokrzywdzonych, o sprawiedliwość społeczną, o pokój dla dusz, rodzin i społeczeństw, a zwłaszcza dla Ziemi św. Podstawą tej modlitwy to ufność w Opatrzność Bożą i wstawiennictwo Matki Najświętszej. Nie zapomina Ojciec św. o nikim, modli się i każe się modlić za wszystkich: za chorych, młodzież, rodziców, sieroty, wygnańców i więźniów i wreszcie o łaskę przygotowania i osiągnięcia szczęśliwości w niebie dla wszystkich. Modlitwa ta podchwycona sercem i ustami przez cały kościół przygotowała serca ludzkie pod obfity posiew łaski.

Urzędową zapowiedzią Roku Świętego było tradycyjne odczytanie bulli papieskiej „Jubilaei maximi“ w święto Wniebowstąpienia Pańskiego w roku ubiegłym, którą Czytelnicy nasi znają z przedruku w ŻYCIU. Odczytanie to poprzedziło krótkie przemówienie Ojca św. przy delegowaniu czterech prałatów do odczytania bulli w przedsionkach czterech bazylik jubileuszowych. Wyraża jeszcze raz wdzięczność Opatrzności Bożej, że po tych wstrząsach wojennych nastąpiła pewna poprawa stosunków w świecie, co pozwala na ogłoszenie tego wielkiego aktu w życiu Kościoła. Ludzkie grzechy jednak przeszkadzają wejść w ten Rok Św. w całkowitym spokoju. Modlitwy i pokuta złożone przez wiernych sprawią, że spłynie na ludzkość prawdziwa zgoda serc i pokój, który jedynie Pan Bóg dać może.

Wysiłki czysto ludzkie nie pomogą, jedynie wiara i życie religijne wsparte łaską Bożą mogą wywołać tę zbawienną odmianę. O tym powinni pouczyć wiernych biskupi wraz z duchowieństwem, zachęcając wiernych do wzięcia udziału w praktykach jubileuszowych.

Udział ten ma polegać na usilniejszej modlitwie, na dziełach pokuty i czynach miłości bliźniego.

Następuje uroczysta zapowiedź Głowy Kościoła Katolickiego: mocą swej władzy apostolskiej po modlitwach i zasięgnięciu rady, władzą Boga Wszechmogącego, Błogosławionych Apostołów Piotra i Pawła oraz własną, dla dobra dusz i rozszerzenia Kościoła katolickiego ogłasza wielki i powszechny jubileusz w Rzymie od Bożego Narodzenia 1949 roku do tegoż święta 1950. WARUNKIEM UZYSKANIA ODPUSTU zupełnego jest godna spowiedź i Komunia św. jako podstawa, a następnie odwiedzenie w d o w o l n y m c z a s i e i w d o w o l n y m p o r z ą d k u czterech Bazylik Większych (św. Piotra, św. Pawła, św. Jana na Lateranie i Najśw. Marii Panny Większej) i odmówienie w każdej trzy razy Ojcze nasz, Zdrowaś i Chwała Ojcu z dodaniem jeszcze jednego Ojcze nasz, Zdrowaś, Chwała Ojcu i Wierzę w intencji Ojca św.

Odpust jest sprawą osobistą, a więc nie można go zyskać jako odpustu zupełnego dla innej osoby żyjącej, a

PAŃSCY

nakazów Ewangelii wymaga nie mniej miłości i męstwa. I że do prowadzenia takiego życia, Łaska Boża jest potrzebna równie niezbędnie, jak do odważnego poświęcenia życia. Wówczas powstał typ Świętego Wyznawcy.

Bóg znów przyświadczył obsypując swe sługi cudami. Wypada zniżyć głos mówiąc o cudach, nagłych manifestacjach niepojętej mocy, cudach stanowiących kamień obrazy dla niedowiarków, rzecz naturalną i zrozumiałą dla dusz wiernych. Bo żyjemy otoczeni cudami, na które nie zwracamy uwagi, gdyż zdarzają się codziennie. Ludzka ciekawość poczytuje za cud tylko to, co rzadkie i nagłe.

Jednym z największych, a zarazem najpowszechniejszych cudów udzielanych Świętym, jest trwałość dokonanych przez nich dzieł. Wśród ogólnego rozbicia a zarazem nieubłaganego przemijania, dzieła te zdają się urągać prawom czasu, posiadać talizman długowieczności. Trzymają się kupy, są realne, krzepkie, nie stoją na lodzie lecz na mocnym fundamencie. Historia nieraz widziała jak równocześnie, nic o sobie wzajemnie nie wiedząc, rosły, — tu mocarstwo zdobywcze, scementowane krwią wielu ludzi, dysponujące potężnym aparatem władzy — a tu jakiś Biedaczyna, czy M.. Vincent, sam jeden, bez środków, bez niczyjego poparcia, tworzył dzieło miłosierdzia. I minęły pokolenia i z mocarstwa nie ma śladu, a dzieło owego Biedaczyny rośnie i trwa i rozwija się. Oto Rewolucja Francuska obala Boga, ogłasza nową erę Rozumu, a równocześnie na zapadłej prowincji uboga dziewczynka, późniejsza wielka Święta, Magdalena Zofia Barat, gromadzi opuszczone dzieci tworząc pierwsze szkoły Sacré Coeur. Nowa era gaśnie nie dożywszy dwudziestu lat, a Sacré Coeur istnieje.... Czyżby wystarczało myśleć tylko o Bogu, nie o sobie, by pokonać czas i uchylić się spod jego działania?

Kościół, Matka Świętych, nie podlega również czasowi, nie zna przedawnienia. Kościół nie uronił żadnego ze Świętych. Imiona ich i zasługi zebrał w skarbcu swoim, jedynej prawdziwie „demokratycznej" przystani, gdzie król sąsiaduje z oraczem, patrycjuszka z niewolnicą, rycerz z pastuchem, mędrzec z analfabetą. Posiada ich tysiące, oczekuje nowych tysięcy, gdyż Boży siew ciągle wschodzi świadcząc o niezniszczalnej młodości wiary, im zaś czasy są straszniejsze a zło natarczywsze, — tym wschodzi obficiej.

Święci nie stanowią jednolitej masy, upodobnionych sobie bezosobowych postaci, jak to lubią przedstawiać plastycy. Przeciwnie. Świętość miast niwelować, egzaltuje i rozwija cechy umysłu i ducha. Dzieje Świętych, prawdziwe dzieje Świętych, są porywające. Życie każdego Świętego to pojedynek stoczony z samym sobą o posiadanie Boga. Człowiek i Bóg, areną świat. Walka nie z byle kim. Bóg w niej uczestniczy, naprzemian pomaga, to doświadcza. Tym zapaśnikiem nie stanie się człowiek letni, przeciętny, zadowolony ze swojej mierności. Święty to z konieczności maksymalista. To miłośnik, który miłości swojej pragnie oddać się całkowicie. Realista, nie marzyciel usypiający się pięknymi snami. W walce o Boga nie ma czasu na marzenia. Ciosy padają jak grad. Ale tylko dla takiej walki warto żyć...

Przy różnorodności oblicza, Święci posiadają pewne cechy wspólne nie zmieniające się na przestrzeni wieków. Są nimi: **Ufność, męstwo** i **pokora.** Cudowna ufność, ta sama, która św. Wincentemu à Paulo dyktowała słowa pisane w pośpiechu do umierającej św. Ludwiki de Marillac: „Idź panna do Nieba, ja tam niebawem przyjdę", męstwo, bez którego darmo nawet myśleć o świętości, i najgłębsza pokora, poczucie własnej nicości i winy. Święci skazy swe widzą wyraźniej niż ogół i silniej nad nimi boleją. Jużci, na białym znać plamę wyraźniej niż na szarym. Każdy Święty czuje się wielkim grzesznikiem, a gdy porówna własne winy z wielkością łask doznanych, ogarniają go żałość i trwoga. Powinny one ogarniać w wiele większym stopniu każdego z nas, tylko że gdy Święci widzą rzeczywistość, my na nią zamykamy oczy...

Święci są różni, lecz świętość jest jedna. Różnice dzielące pustelników z Tebaidy od Świętych dwudziestego wieku, istnieją tylko pozornie, wywołane odmienną techniką życia i odmiennym obyczajem. Cóż stąd, że św. Szymon Stylita rzucałby dziś swoje wezwania przez radio, miast głosić je z wierzchołka słupa, skoro treść wezwań pozostałaby ta sama? Św. Paweł, Apostoł Narodów, kierowałby dziś potężnie prasą katolicką świata. Św. Katarzyna ze Sienny miast wędrować na mule z rodzinnego miasta do Florencji, by godzić okrutnych wielmożów, leciałaby samolotem z Moskwy do Waszyngtonu i z powrotem, podejmując w większej skali to samo dzieło pokoju. (Skuteczniej zapewne, niż się to udaje dyplomatom). Zaprawdę, żaden Święty przeniesiony sprzed wieków w czasy obecne, nie czułby się zbędny, ani potrzebował zmienić swoje wypowiedzi. Bo świat jest ciągle ten sam, błędy ludzkie te same i wciąż trwa ten sam nieukojony głód Boga i miłosierdzia Bożego.

— — — — — — —

Skoro tak jest, — a niewątpliwie tak jest, — dlaczego wśród katolików stosunkowo rzadko spotykamy pragnienie zostania Świętym? Wszakże na stu ludzi (katolików) zapytanych o to, przynajmniej 90 odpowie z fałszywą pokorą: Być Świętym, to nie dla mnie! Wystarczy gdy będę porządnym człowiekiem!... (czyli owym letnim, co nie wejdzie do Królestwa Niebieskiego).

Dlaczego? Przyczyn znajdziemy wiele, w pierwszym rzędzie wrodzone lenistwo, w drugim... literatura. Tak. Literatura. Do wielu grzechów jakie ma ona na sumieniu dołącza się i ten, bardzo ciężki.

Pierwsze zapiski Kościoła zawierające imiona Męczenników, daty oraz okoliczności towarzyszące ich śmierci, były zwięzłe, treściwe, prawie suche. Żadnych ornamentów. Nic, prócz gołych faktów. Wprędce poczęła im towarzyszyć legenda, zrodzona na podstawie wspomnień świadków, tradycji ustnej. Te starożytne legendy dają się rozpoznać, gdyż są oszczędne i znają wagę symbolu. Acz naiwne nie dają się czytać bez szczerego wzruszenia. Niebawem jednak przestały wystarczać wyznawcom. Ludzie nasycający uparcie swoją małością dostępny im fragment wieczności, toczyli zawzięte spory o to, który Święty jest większy i wspanialszy? Który zasiada wyższe miejsce w niebie? Podobne rywalizacje pochłaniały umysły i pobudzały wyobraźnię hagiografów. Bardziej przejęci propagandą „swojego" Świętego niż poszanowaniem prawdy, pobożni pisarze, ozdabiali swe teksty wszystkiem co im wyobraźnia albo pamięć podsunęły, nie gardząc wątkami pogańskimi. W przyszłości protestantyzm miał na czym używać, Luter znajdywał bogate podstawy do szyderstwa.

Mimo rażących nieścisłości i przesady naiwne te bzdury były jednak mniej szkodliwe, niż późniejsza literatura hagiograficzna obowiązująca w świecie katolickim od osiemnastego wieku do wczoraj. Wprawdzie już działali Bollandyści, Kościół posiadał opracowania krytyczne, lecz nie docierały one do rąk ogółu. Powszechnie czytywano elukubracje nieszczere, zastępujące wiarę ckliwością, miłość słodkimi zdrobnieniami i nadmiarem przymiotników. Z owych pism zrodził się typ Świętego, ponurego, histerycznego próżniaka, egoisty, obcego życiu i jego sprawom, nielitościwego względem bliźnich, znajdującego rozkosz w samoudręczaniu. Mało pociągający ten wzór pokutuje w pojęciach wielu ludzi po dziś dzień.

Kto zawinił, niech naprawia. Literatura katolicka ma przed sobą arcyważne zadanie: przedstawić w Świętym prawdziwie pełnego, twórczego i radosnego człowieka. Ukazać piękno świętości jako zjawiska naturalnego, przyrodzonego, do którego każdy chrześcijanin jest zobowiązany. Ten obowiązek stanowi zarazem najwyższy przywilej. Któż mogąc latać, zmienia się dobrowolnie w kreta?

Zadanie to jest ważne, i pilne, palące. Tylko wielka ofensywa Świętych bowiem może ocalić świat sunący ku zagładzie. My, katolicy, wiemy, że świętość to oręż dany nam przez Boga. Że zła nie pokona się złem, ani kłamstwa kłamstwem, ani chytrości chytrością, ani gwałtu gwałtem.

By zwyciężyć, potrzeba Świętych, potrzeba powszechnej, gorącej czci Świętych. Niech nikt ze Sług Bożych nie pozostaje zapomniany, zaniedbany przez swoich, jako kapitał niewyzyskany. Modlić się trzeba by wszyscy nasi Święci stanąwszy na ołtarzach powiększyli szeregi walczących.

Świętość jest zjawiskiem arcyspołecznym. Dziś, gdy zbiorowość gra tak wielką rolę, nie można pominąć tego aspektu milczeniem. Świętość jest społeczna podwójnie, gdyż działa na planie ziemskim i na planie nadprzyrodzonym. Działanie ziemskie wyraża się w pociąganiu przykładem. Tylko ludzie obcy wierze mogą sądzić, iż Święty egoistycznie uświęca samego siebie, nie troszcząc się o innych. Do Nieba droga wiedzie nie przez gwiazdy, lecz po ziemi, a służyć Bogu można tylko służąc ludziom. W miłości bliźniego wyraża się miłość do Stwórcy. Świętość jest zaraźliwa. Woń świętości o której tak często mówią pisarze Kościoła to nie symbol, lecz rzecz równie realna jak smród grzechu. Nasze nozdrza jej nie rozpoznają, lecz wyczuwają dusze. Żaden Święty nie idzie do Nieba sam. Za każdym, niby świetlisty ogon za kometą, płynie orszak dusz, które on przykładem swoim zaraził, miłością porwał.

Działanie tych ognisk rozświetlających ciemności da się ocenić bez trudu, nawet niewierzącym. Natomiast drugie działanie świętości nadprzyrodzone, wymyka się sprawdzianom ludzkim. Możnaby je nazwać „akcją dziesięciu sprawiedliwych". Jak każdy człowiek Święci przynależą do swego narodu, stając się po śmierci szczególnymi opiekunami patronami rodzinnej ziemi. Naród to jednostka zbiorowa żyjąca na planie doczesnym. Dusze składające się na wielkie skupisko narodu są nieśmiertelne, naród duszy nieśmiertelnej nie posiada. Niemniej stanowi jedność podlegającą karze lub nagrodzie. Kara lub nagroda narodu jest zależna od zasług składających się nań jednostek. Stanowi jakoby wtórne, poboczne działanie świętości. Bóg oszczędza tych wśród których są święci. Bóg przebacza grzesznikom wzamian za zasługi Świętych. Wiemy o tym najpewniej z Pisma św. Dziesięciu sprawiedliwych mogło zrównoważyć straszliwe zbrodnie pozostałych mieszkańców Sodomy. Święci to piorunochrony wstrzymujące grom gniewu Bożego. Nic o tym nie wiedząc, pracując w ukryciu, Siostra Miłosierdzia, lub Karmelitanka, przesądza o szczęśliwym uniknięciu wojny, odsuwa katastrofę grożącą krajowi.

Dziesięciu Sprawiedliwych! Dosadna lekcja, zbyt mało pamiętana. Sprawiedliwi, czyli Święci, mogą uratować świat. Walczmy o świętość!

Zofia Kossak

CZY PAMIĘTASZ
O
KATOLICKICH
NAGRODACH
LITERACKICH?

ŚWIĘTEGO

jedynie można go ofiarować za dusze w czyśćcu cierpiące. Tyle razy może być uzyskany ILE RAZY WSZYSTKIE WARUNKI BĘDĄ SPEŁNIONE. Ci, którzy nie mogą przepisanych nawiedzeń odbyć, mogą uzyskać, o ile przyczyna jest ważna, zwolnienie od spowiednika — jedynie spowiedź jest konieczna. Ci, którzy umarliby w drodze do Rzymu, albo wszystkich nawiedzeń nie zdążyli odbyć, odpust zyskują, jeżeli odbyli spowiedź.

Pragnienia i intencje, jakie Ojciec święty porusza, to przede wszystkim powszechny powrót do Chrystusa, wierność tak Jemu, jak i założonemu przez Niego Kościołowi i to niewzruszona i okazana życiem. Ma przynieść zapewnienie praw Kościoła przeciw zasadzkom i napaściom jego wrogów, owszem, by ci właśnie wrogowie oświeceni łaską Bożą wrócili do posłuszeństwa przykazaniom Ewangelii. Pragnie Ojciec św. pokoju dla świata, a szczególnie dla Ziemi Świętej. Omawia te wszystkie pragnienia, które już zawarł w swej modlitwie jubileuszowej.

Ojciec św. zaprasza całym sercem do Rzymu, ojczyzny duchowej wszystkich, miejsca natchnienia dla świętych, triumfu męczenników, tu każdy może wchłaniać tchnienie świętości, pokoju i odczuć prawdziwą powszechność Kościoła Chrystusowego. A w tych uroczystościach i czynach pobożności mają przodować sami rzymianie.

Jubileusz w Rzymie był przygotowany starannie we wszystkich kościołach parafialnych a zwłaszcza w poszczególnych kołach Akcji Katolickiej. Przygotowaniem również była tzw. „krucjata dobroci" zapoczątkowana i prowadzona skutecznie przez słynnego kaznodzieję O. Lombardi. Z obserwacji zachowania się wiernych w bazylikach objętych obowiązkiem nawiedzenia widać, że jubileusz będzie prawdziwym odnowieniem dusz i to w sposób raczej cichy, przez wewnętrzne poddanie się działaniu łaski, przez zrozumienie celów nakreślonych przez Ojca św. Ponieważ cele te i pragnienia Ojca św. są celami i pragnieniami całego Kościoła, cały też Kościół powinien wziąć udział bez względu na to, czy będzie dane przybyć do Rzymu poszczególnym wiernym czy też nie.

Ojciec św. uwzględniając trudności niezależne od woli tak wielu przecież wiernych, dał hierarchii kościelnej różne przywileje. Z tych przywilejów korzysta zwłaszcza nasz Kraj, który może razem z całym Kościołem ściągać nadprzyrodzone łaski Boże, odradzać się duchowo i krzepnąć wewnętrznie przed tymi trudnościami prawdziwej drogi krzyżowej, które go jeszcze czekają.

Według ustaw kościelnych, które mają już swą tradycję, na czas Roku Jubileuszowego są zawieszone wszystkie inne odpusty dla żywych. Chodzi o to, by w ten sposób wywrzeć pewien nacisk na wiernych, by PRZEZ UDZIAŁ W PIELGRZYMCE DO RZYMU I WYPEŁNIENIE WSZYSTKICH WARUNKÓW przyczynili się do wielkiego odrodzenia indywidualnego i społecznego. Dla zmarłych natomiast wszystkie odpusty zdobywać można.

Zawieszeniu temu nie podlegają następujące modlitwy i praktyki nabożne: odpust nadany na godzinę śmierci, odpust przywiązany do odmawiania modlitwy „Anioł Pański", odpust 40-godzinnego nabożeństwa, odpust Porcjunkuli, ale w samejże tylko Porcjunkuli, w kościółku pod Asyżem, który stał się kolebką całego ruchu franciszkańskiego, odpust przywiązany do modlitwy jubileuszowej obecnego Ojca św. (omówionej na początku tego artykułu), odpusty przywiązane do błogosławieństwa Apostolskiego czy też pontyfikalnego.

Nasz czynny udział w zjednoczeniu z całym Kościołem to przede wszystkim jednoczenie się w usilnej modlitwie, w praktykowaniu umartwienia — sposobność ku temu znajdziemy nawet w warunkach wygnańczych i obozowych, oraz w praktykowaniu uczynków miłości i miłosierdzia chrześcijańskiego — znowu tak łatwo o tę małą krucjatę dobroci czynnej w najbliższym nawet otoczeniu. Ci szczęśliwcy, którzy będą mogli dzięki wysiłkom Instytutu Akcji Katolickiej przybyć na groby Apostołów, wyniosą bez wątpienia pomnożenie wiary i umocnienie w zasadach Ewangelii i z kolei muszą oddziaływać po powrocie na swe otoczenie w dodatnim znaczeniu. Poczujemy się wszyscy pokrzepieni tym głośnym wyznaniem wiary i świadomością potęgi duchowej Kościoła św., którego dziećmi mamy szczęście się nazywać.

JAN TOKARSKI

WIECZORY TEATRALNE

ROZDROŻE MIŁOŚCI

Polski Teatr Dramatyczny w „Ognisku Polskim“ w Londynie: Jerzy Zawieyski — „Rozdroże miłości“, dramat w 3 aktach. Reżyser L. Pobóg - Kielanowski. Dekoracje: T. Orłowicz.

PISZĘ tę recenzję bezpośrednio po wyjściu z londyńskiej premiery „Rozdroża“: numer ŻYCIA idzie właśnie na maszynę. Nie miałem jeszcze sposobności, aby przeczytać tekst sztuki; obiecuję więc sobie powrócić do pytania, które pasjonowało tylu widzów na premierze — choć jestem przekonany, że chyba żaden z nas, Polaków poza Krajem, na nie nie odpowie: — czemu przypisać niezwykły rezonans tej przede wszystkim sztuki w Polsce?

Na to samo pytanie usiłowała odpowiedzieć w zeszłorocznym 17 numerze krakowskiego „Znaku“ Stefania Skwarczyńska, lecz odpowiedź, jaką sugeruje: wartości formalne teatru Zawieyskiego i bezkompromisowe opowiedzenie się autora za prawem Ewangelii — nie przekonywa właśnie z powodu grzechów formalnych, grzechów przeciw prawom i perspektywom sceny, które nie mogą nie odbić się na procesie inkarnacji, na procesie wcielenia słowa artysty w ciało teatru.

Rozumiem dobrze, że mogą istnieć dzieła, które choć są zbiorem wykroczeń przeciw prawom swego rodzaju, są jednak dziełami wielkiej sztuki, żyją pełnią witalizmu nawet swych grzechów, bo, jak człowiek grzeszny, posiadają centrum życia — duszę rozumną. Powiedziano o Brahmsie: Jego koncerty fortepianowe nie są pianistyczne, jego dzieła skrzypcowe nie są wiolinistyczne, jego symfonie nie są symfoniczne, jego pieśni nie są wokalne, ale i jego koncerty i symfonie i pieśni są skończonymi arcydziełami. Lecz „Rozdroże“ mimo wielkich ambicji autora — jest to przecież dramat tego, co się nazywa w dogmatyce świętych obcowaniem, dramat mistycznej a więc najgłębiej realnej komunii żywych i umarłych — nie jest nawet poprawnie zbudowaną sztuką.

Znowu: nie chodzi mi o chemiczną doskonałość, która dla tego samego, że jest receptą, nosi w sobie znak martwoty. Dzieło sztuki bowiem nie podlega prawom chemicznego składu, lecz raczej, żeby tak powiedzieć, prawidłowości tonacji Nawet w dziełach bardzo „nowoczesnych“ kompozytorów, którzy nie myślą swych utworów w żadnej tonacji, zawsze niemal daje się wysłyszeć pewien ośrodek, ku któremu dzieło zmierza, wykorzystując całą wolność odstępstwa od tonalności „po drodze“, a nawet te ślady modulacji, które zostały, myślane są jeszcze pionowo, harmonicznie, jak u klasyków, a nie, jak chyba być musiało u mistrzów chorału, linearnie. W sztuce jak w katolicyźmie, obowiązuje pełna wolność za cenę bardzo niewielu zasad kierunkowych. Mało: toć za jedną cenę nawet tych niewiele zasad może być realizowanych w tak niepojęcie różny sposób! — O całą różnicę, jaka jest między genialnym Pawłem, a, jak go nazwano, „świętym osłem“ Józefem z Cupertino, między dziewiczym apostołem Janem a ongiś zabijaką, włóczęgą i wykolejeńcem Kamilem de Lellis czy Janem Bożym, między geniuszem wiedzy i mądrości Tomaszem a zawszonym i cuchnącym żebrakiem Józefem Labre, między słodyczą Franciszka z Asyżu czy Salezego, a żarem płomiennej namiętnej inwektywy Jacopone da Todi czy Wincentego Fereriusza: za cenę wiernej miłości.

W świętości płaci się wierną miłość Dawcy wszelkiego życia, Życiu Samemu. W sztuce — analogicznie, jest to także wierna miłość życiu. Życie w sztuce nie może być „odpisywane“ z jego przypadkowością, bo sztuka jest wprowadzaniem ładu, jest organizacją i konstrukcją nawet, gdy ukazuje chaos. To jest właśnie ta prawidłowość tonacii, ciążenie ku pewnym ośrodkom, — Nudziarz tylko „w życiu“ jest nudny, w metaforze sztuki zaś, jak mówi Chesterton o nudziarzach Dickensa, jest żywiołowo interesujący.

Nie wynika z faktu konstrukcji i wyboru, że powstanie dzieła sztuki jest procesem czysto cerebralnym, mózgowym; nie wierzę w „intelektualne“ dzieła.

Powiedział Alain, że m y ś l jest ostatnim procesem rasowego artysty. Jest to arcypsychologiczna prawda. Potwierdzają ją negatywnie wielcy twórcy, którzy równocześnie — z jak żałosnym rezultatem — usiłowali być komentatorami swej sztuki. Potwierdzają pozytywnie inni, którzy jej komentować nie chcieli. Pamiętamy sarkazm Beaudelaire'a, pamiętamy zdumienie Goethego, gdy go ktoś zapytał, co chciał „wyrazić“ w „Fauście“. A nawet tak osobliwy fenomen w dziejach sztuki jak Norwid, który był także własnym Platonem, nie potrafi, na szczęście, „wyjaśnić“ nam nawet własnej tajemnicy.

Bo stoimy tu zawsze przed tajemnicą. Kto „wyjaśni“, na czym polega urok starej włoskiej architektury najnędzniejszych nieraz paesi? — Płaszczyzny szarych murów, małe okienko, schody, jakieś przecięcie pionowym czy poziomym występem, rytmicznym — a stajesz urzeczony! Dlaczego w lada mieścinie, w jakiejś Cuprammarittima można godzinami wpatrywać się w rozwiązanie centralnej piazza i daremnie biedzić się nad odpowiedzią, na czym polega niewytłumaczony czar związania tych prostych mas schodów, galerii, surowych ścian domów, kościoła i portyku... zwyczajnej osterii?

Wydaje mi się, że w sztuce stoimy zawsze przed odblaskiem, przed analogią głównych tajemnic chrześcijaństwa. Jesteśmy w kręgu objawienia, przed tajemnicą wcielenia, przed faktem odkupienia, w obliczu transubstancjacji, przeistoczenia. Są tu śmierci i zmartwychwstania, agonie i zesłania ducha. A myślę w tej chwili nie o postaciach sztuki i o ich konfliktach, nawet nie o sekrecie dzieła samego, ale o jego stwórcy-autorze. On bowiem na ludzki sposób jest rewelatorem tych naczelnych misteriów, on, artysta, „małpa Panaboża“, jak go nazwano. Ale jego „stwórczość“ będzie żyła życiem prawdziwym tylko poprzez wcielenie. Musi materię nie tylko dojrzeć (katolicyzm bowiem nie jest jakimś spirytualizmem odcieleśnionym) i ją przyjąć, ale tylko przez nią może prowadzić swoje postaci i nas. Słowo musi stać się ciałem.

Słowo „Rozdroża“ ciałem się nie stało. Postaci nie mają ani krwi ani kości. Duch świętych obcowania, który ma je zjednoczyć w kręgu winy i kary, odkupienia i zmartwychwstania, niczego więc chwalebnie nie przemienia. Są to tylko słowa o grzechu, ale nie ludzie grzeszni. To nie świętość, w której blaskach chodzi wieś X. Jana, ale magia, to nie straszliwa choć niepojęta rzeczywistość cudu przemiany, która by się dokonywała w duszach, lecz zewnętrzne znaki. Oto Bóg wśród nich nie przebywa w ciele. Jest ideą heglowską, a nie jedyną Realnością. Mimo zaklęć Księdza nie zjawia się w naszym odczuciu, a dramat bohaterów Zawieyskiego nie jest naszym dramatem. Patrzymy na nich i słuchamy chrzęstu ich słów jak patrzał prorok Ezechiel na pole kości pełne zanim „stał się szum... i przystąpiły kości do kości, każda do stawu swego... na nie ściegna i ciało wstąpiło, i rozciągnęła się na nich skóra po wierzchu,... i przyszedł w nie duch“.

Napisał ktoś o symfoniach G. Mahlera, że byłyby znakomitymi dziełami, gdyby nie to, że mają za wiele nut. Otóż „Rozdroże“ ma także ten błąd nadmiernej obfitości słów, które nie bronią się nawet jakimś literackim walorem. Są jednowymiarowe, całe swe znaczenie wyczerpują w swej formie znaków. Jest to język dziwnie niesceniczny i tylekroć niepotrzebny, gdy jeden gest, jeden ruch głowy powiedziałby nieskończenie więcej. Na Zawieyskim znać wpływ Szaniawskiego, a jednak nie przejął się tajemniczym walorem pauzy, nieraz mistrzowsko stosowanym przez autora „Adwokata i róż“. Razi nas też w tej sztuce pomyślanej jako realistyczny dramat mechaniczne pożyczanie sobie nastroju i symboliki od dekoracji akustycznych — wiatru i organów.

Jest Zawieyski zbyt znacznym zjawiskiem w pisarstwie polskim, aby wolno było się ograniczyć jedynie do paru aluzji i do paru apodyktycznych, nie popartych dowodami stwierdzeń. Dlatego poprzestając dziś na tych kilku uwagach i przybliżeniach, odkładamy obszerniejsze omówienie „Rozdroża“ na później.

Teatr przystąpił do wystawienia sztuki z wielkim pietyzmem. Podziwiając szczerze, z całego serca, heroizm naszych artystów w ich ciężkiej pracy, prowadzonej z prawdziwym zaparciem się siebie, pragnąłbym zawsze pisać o nich w samych superlatywach. Lecz niech mi wybaczą, jeśli z właśnie z szacunku dla nich, wypowiem kilka uwag krytycznych o wykonaniu dramatu Zawieyskiego. Zarówno reżyser jak i protagonista ukazali wszystkie wady tekstu. Nadmiernie rozciągnięte tempo odebrało resztki rumieńca postaciom. Przecież to jest sztuka realistyczna, a nie symboliczna. Kwestie X. Jana są to proste, razowe, prawdy chrześcijańskie, jak najbardziej codzienne. nie wolno ich deklamować (na jednym tonie), z mgiełką jakiejś zaświatowości. Efekt wtedy jest taki, jak był na premierze: Musi się wydawać widzowi, że w osobie X. Jana widzi jakiegoś urzędnika religii, który wypowiada swoje pociechy bez żadnego stosunku do nich i bez osobistego stosunku do ludzi, dla których są przeznaczone.

Piotr, który w tej konstrukcji dramatu jest postacią właściwie zbyteczną, w wykonaniu p. Rewkowskiego bynajmniej nie uzasadnił swego scenicznego bytu. Razi także zbytnia jednostajność mimiki i gestu (ręce w kieszeniach!) artysty. Najbardziej podobała się Elżbieta p. J. Domańskiej, scena z Martą zagrana była doskonale. Gdyby ta świetna artystka zechciała stłumić nadmierną chwilami dekoracyjność gestu i intonacji, rola byłaby znakomitą całością. Doskonałe w wyrazie było pierwsze wejście Marty p. Arczyńskiej. Artystka ta miała wiele pięknych momentów w swej roli. Dla akcentów prawdy i prostoty bardzo podobali się Wójt p. Bzowskiego i Michał p. Ratschki.

Jan Tokarski

KRONIKA KULTURALNA

LOGISTYKA

Towarzystwo „Synthèse“ wydało pod koniec ubiegłego roku drukiem „Zarys logiki matematycznej“ O. I. M. Bocheńskieko O. P:

Jest to zdaniem specjalistów jedyna publikacja techniczna z tej dziedziny w języku francuskim odpowiadająca współczesnemu stanowi nauki.

Wkrótce wyjdzie z druku drugie wydanie głośnej pracy fryburskiego uczonego w języku niemieckim o Filozofii Europy Współczesnej.

ŻYCIE NAUKOWE

Rezydująca w Londynie Polska Rada Naukowa na Obczyźnie uchwałą swego zgromadzenia ogólnego przekształciła się w Polskie Towarzystwo Naukowe na Obczyźnie. Ta pozornie niewielka zmiana kryje w sobie bardzo daleko idące możliwości, gdyż nowa organizacja będzie miała charakter Akademii w kontynentalnym rozumieniu tej nazwy, to znaczy składać się będzie z ograniczonej liczby członków (90 osób wybieranych na zgromadzeniach ogólnych) i przejmie w pewnym zakresie zadania krakowskiej Akademii Umiejętności, która, wobec coraz silniejszego nacisku na naukę polską w kraju, nie jest w stanie należycie reprezentować jej za granicą. Towarzystwo dzielić się będzie na wydział humanistyczny i przyrodniczy. Mają być ponadto tworzone komisje naukowe, w których będą mogli uczestniczyć także niecząłonkowie Towarzystwa. Cudzoziemcy mogą być członkami honorowymi. Zgromadzenia walne będą się odbywać dwa razy na rok: latem dla wyboru nowych członków, których nazwiska będą ogłaszane na publicznym zebraniu połączonym z odczytem oraz zimą — dla wysłuchania i przyjęcia sprawozdania z działalności. Obecnie Polskie Towarzystwo Naukowe na Obczyźnie liczy 51 członków (36 zamieszkałych w W. Brytanii i 15 w innych krajach). Przewodniczącym jest prof. T. Brzeski, wiceprzewodniczącymi profesorowie: W. Folkierski i M. Kukiel, sekretarzem generalnym prof. K. Rouppert i członkami zarządu prof. Z. Leliwa i prof. A. Żółtowski. Do zarządu mają wejść jeszcze przewodniczący wydziałów, którzy będą wybrani w najbliższym czasie.

HISTORIOGRAFIA.

W końcu stycznia zmarł w Brighton dużej miary archeolog, historyk starożytności i pisarz polityczny prof. Tadeusz Wałek-Czarnecki. Urodził się on w Wadowicach w r. 1889, studia wyższe odbywał w Uniwersytecie Jagiellońskim oraz w Paryżu. Już przed pierwszą wojną światową prowadził poszukiwania archeologiczne w Egipcie oraz badania geograficzno-topograficzne w Grecji (do pracy na temat Konfederacji Etolskiej). Karierę naukową rozpoczął jako docent Uniwersytetu Jagiellońskiego w r. 1921, w r. 1922 został profesorem nadzwyczajnym, a w r. 1934 — zwyczajnym Uniwersytetu Warszawskiego w dziale historii starożytnej. Wydał wiele dzieł w językach: polskim, niemieckim i francuskim, a m. in. „Naród, narodowość i ojczyzna w starożytności“, „Partie polityczne w starożytności i w czasach dzisiejszych“, „Próba charakterystyki demokracji greckiej“, „Przyczyny upadku świata starożytnego“. Jako polityk i pisarz polityczny związany był ściśle z obozem legionowym; pracował w departamencie politycznym N.K.N.; wydał m.in. dzieło „Państwowość i niepodległość“.

*

Zapowiada się wielkie fałszerstwo historyczne w Polsce. Mianowicie w czasopismach krajowych pojawiły się ogłoszenia, zawiadamiające, że Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej „Prasa Wojskowa“ wespół z „Domem Wojska Polskiego“ podejmuje w piątą rocznicę „wyzwolenia“ Polski przez armię bolszewicką wydanie wielkiej pracy zbiorowej pt. „Wyzwolenie“, na którą mają się złożyć dokumenty, wspomnienia, reportaże, utwory literackie, fotografie i rysunki „dające wyraz przeżyciom i uczuciom Polaków w pierwszych dniach wyzwolenia i ich wdzięczności dla Armii Radzieckiej i Wojska Polskiego“. Wydawnictwo zwraca się z apelem do publiczności o nadsyłanie materiałów. Ma to być wydawnictwo wielotomowe. Aby zachęcić ewentualnych współpracowników, na których bezinteresowność i gorliwość nikt nie liczy, ogłoszenia zapowiadają wypłacenie honorariów bez względu na wykorzystanie nadesłanego materiału (sic!). Grafomani szaleją z radości.

LITERATURA.

Znakomity poeta Jerzy Pietrkiewicz podczas ostatniego swego wieczoru autorskiego w Londynie uzasadniał m.in. pogląd, że poezja nowoczesna może być należycie percypowana tylko słuchowo. Wydaje się, że pogląd ten w dużym stopniu stosuje się do całej poezji. Po tej linii idzie świetny Teatr Rapsodyczny dr. Kotlarczyka w Krakowie (ostatnio coraz silniej „przyciskany“ przez komunistów) i te same tendencje dają się zauważyć w poezji angielskiej. Ostatnio Richard Church dla zilustrowania słuszności tego poglądu ułożył specjalną antologię poetycką do czytania na głos. Antologia nosi tytuł „Poems for Speaking“ i poprzedzona jest szkicem p. R. Church'a o recytacji i głośnym czytaniu utworów poetyckich. Zbiór ten ukaże się w najbliższym miesiącu nakładem firmy Dent.

TEATR.

W krakowskim Starym Teatrze odbyła się premiera komedii „Pies ogrodnika“, jednej z najgłośniejszych spośród 1900 sztuk teatralnych pióra Lope de Vegi. Reżyserował Władysław Krzemiński, oprawę sceniczną dał Andrzej Pronaszko.

*

Nie tyle sowietyzacja, co rusyfikacja teatru w Polsce posuwa się bardzo szybko naprzód. Do przyspieszenia tego procesu walnie przyczyniają się t.zw. festiwale sztuk radzieckich, przyjazdy trup rosyjskich itp. Dla ilustracji warto przytoczyć listę (z pewnością niekompletną) sztuk rosyjskich granych ostatnio na scenach polskich: „Ostatnie dni“ M. Bułhakowa, „Burza“ A. Ostrowskiego, „Na dnie“ M. Gorkiego, „Wiśniowy sad“ A. Czechowa, „Młoda gwardia“ A. Fadiejewa, „Maszeńka“ Afinogenowa. Z dzieł zachodnio-europejskich wystawiono w ostatnich dwóch miesiącach m. in. „Wesołe kumoszki z Windsoru“ Szekspira, „Świętoszka“ Moliera, i aż trzy sztuki wiecznie niedojrzałego B. Shawa: „Mąż przeznaczenia“, „Aurora“ i „Szczygli zaułek“. Z dzieł polskich szły Słowackiego „Mazepa“ i „Beniowski“ (w ujęciu rapsodycznym dr. Kotlarczyka) i „Niemcy“ Kruczkowskiego.

MUZYKA.

Przed mikrofonem Polskiego Radia w Warszawie odbyło się prawykonanie „Symfonii“ Antoniego Szałowskiego, czołowego kompozytora polskiego zamieszkałego stale w Paryżu.

*

Opera Poznańska obchodziła niedawno 30-lecie swego istnienia. Na obchodzie jubileuszowym wystawiono „Halkę“ Moniuszki w rewelacyjnej inscenizacji Schillera. Dyrygował Bierdiajew. Jednocześnie przemianowano operę na „Państwową Operę im. Stanisława Moniuszki“ Obchód Roku Moniuszki, związany z 130 rocznicą urodzin kompozytora przypadał na rok 1949, przeniesiono go jednak na rok bieżący.

ERRATA w „ABC TOMIZMU“

Prosimy o poczynienie następujących poprawek w broszurowym wydaniu „ABC TOMIZMU“:

Str. 29 Nr. 16 w. 2 od góry ma być: „więc akt. idzie logicznie i rzeczowo przed tym co nie jest“.

Str. 48 Nr. 28 ww. 4 i 5 od góry przestawić.

Str. 60 Nr. 34 w. 3 od końca i str. 61 Nr 37 w. 4 od końca zamienić.

PRZEGLĄD PLASTYCZNY

Trzy sale w Tate Galery są zajęte obecnie przez zbiorową wystawę dzieł malarskich Fernanda Leger'a jednego z wybitniejszych malarzy francuskich starszego pokolenia (ur. w r. 1881). Wystawa daje pełny obraz rozwoju malarza w ciągu poszczególnych okresów jego czterdziesto-pięcioletniej twórczości.

Rodowód sztuki Leger'a wyprowadza się, podobnie jak wszystkich współczesnych, od dzieła Cézanne'a; i z tego odłamu postawy cezannowskiej, która głosi kult zdecydowanie określonej formy, opartej o rytmikę geometryczną. Spośród malarzy, których twórczość wiąże się z tą samą (geometryzującą) linią wpływów Cézanne'a — Leger jest chyba najradykalniejszym ich przedstawicielem.

Sztuka Leger'a jest często wprost brutalna w dążeniu do zwartości rytmów i dekoracyjnego działania surowymi masami twardo określonych mas malarskich, nie rozbitych na półtony lub wewnętrzne dopełnienia.

Typ elementów składowych swych dzieł wyszukuje Leger w tak niewdzięcznych, zdawałoby się, dla wizji malarskiej domenach, jak części maszyn, śruby, rury blaszane, gzymsy, floresy wyciętych metalowych i drewnianych szablonów... Jakby artysta krzyczał do nas: oto formy nie pozostawiające wątpliwości, że są twarde, zdecydowane i szorstko męskie.

Szereg jego wielkich kompozycji, przeznaczonych dla ogromnych hal można oglądać z odległości conajmniej 30 metrów; a wtedy lokalne odpychające surowości znikają w potędze niespodziewanych syntez rytmicznych.

Podkreślam: zestawienia barwne Leger'a są często nad wyraz brutalne i surowe, ale w odróżnieniu od wielu neokubistycznych twórców na tym terenie — nigdy nie są pseudoinwencyjne (tj. sztucznie silące się na oryginalność) i nigdy nie bywają ordynarne. Znać w tych dziełach nurt głębokiej kultury i tradycji środowiska malarskiego, w którym rozwijał się ten chłop normandzki — Ferdynand Leger.

Na jak głębokich podkładach subtelnej wiedzy rysunkowej wyrosły te kreacje plastyczne — niech świadczy np. portret Philippona z roku 1915, kolegi Leger'a na froncie pierwszej wielkiej wojny światowej. Jak subtelny i wyszukany w kolorze jest np. obraz „14-go lipca" (Nr. 9 Kat.) z roku 1913!

Najmniej może przekonywujący okres twórczości Leger'a przypada na lata 1924 — 1929, gdzie sztuka jego przypomina obrazy de Chirico (np. Martwa natura, Nr. 25, z roku 1924).

Leger jest mistrzem głęboko zrozumianego rytmu rysunkowego i malarskiego. Jaką siłę działania rytmicznego ma np. obraz „Trzy siostry" (Nr. 42) z r. 1948, a więc z ostatniego okresu twórczości! Posiadając wykształcenie architektoniczne, Leger pojmuje obraz jako twór zdobniczy, wiążący się zawsze z określonymi koncepcami wnętrz mieszkalnych, biur, hal dworcowych. Poczynając od roku 1921 w sztuce jego występuje wyraźny wpływ le Corbusier'a. Ten syn ludu normandzkiego ma w sobie monumentalną jędrność, dynamikę wyrazu i wstręt do wszelkiego wyrafinowania, opartego o półśrodki działania w malarstwie.

Wystawa Leger'a w Tate Gallery należy do cyklu wystaw monograficznych, zaczętych wystawą Van Gogh'a przed dwu laty (Van Gogh, Dawid, Chagal, Leger). Mieszkaniec Londynu, chcący pogłębić swoją kulturę plastyczną, ma, zaiste, wyjątkowe okazje po temu.

m. b. s.

WYSTAWA PRASY POLSKIEJ

1939 – 1949

Wystawa Prasy Polskiej z lat 1939 — 1949 została zorganizowana przez Instytut Historyczny im. Gen. Sikorskiego i Instytut Polski Podziemnej w lokalu tej pierwszej instytucji przy ul. Queens Gate 20. Warto (i należy!) poświęcić godzinę lub dwie wolnego czasu, aby przekonać się, że „Polacy nie gęsi i swój język mają", i że tym językiem potrafią operować także w druku, zakładając gazety w najnieprawdopodobniejszych zakątkach tego świata. Wystarczy spojrzeć w hallu Instytutu na dziesiątki olbrzymich płacht pięknie malowanych i pisanych ręcznie i przeczytać ich tytuły oraz daty, aby przypomnieć sobie (a czasem dowiedzieć się), że nawet na „nieludzkiej ziemi", w Rosji, wyrastały w polskich oddziałach piękne gazety ścienne.

Mimowoli myśli się o mnichach Średniowiecza, mozolnym duktem piórka i pędzelka głoszących swoją prawdę w prastarych księgach. Podobnie powstały te biuletyny i dzienniki, których tytuły mówią same za siebie: „Do boju!", „Do zwycięstwa", „Hej kto Polak na bagnety!", „Nad Guzar-Daria", „Piechur z Kermine", i tyle, tyle innych.

Proszę obejrzeć ich benedyktyńskie, staranną ręką anonimowo wypisywane szpalty, rysunki i ozdoby. A prasa podziemna w Kraju? Fotografie starszych i późniejszych gazetek i czasopism, prasa powstańcza (w normalnym dużym formacie), prasa dywersyjna w języku niemieckim — dziesiątki, może setki tytułów, reprodukcji, mikrofilmy, chytre skrytki, w których przewożono na zachód pocztę (nprz. mała figurka jakiegoś świętego, wydrążona wewnątrz mieściła w sobie spory ładunek kurierskiej poczty), sfingowane przez AK wydanie gadzinowego „Nowego Kuriera Warszawskiego", które swojego czasu spowodowało może atak apoplektyczny jakiego gestapowskiego dygnitarza — to wszystko można zobaczyć na wystawie.

Szkoda, że nie pokazano niektórych najwcześniejszych wydawnictw warszawskich (choć katalog głosi, że Instytut Polski Podziemnej posiada egzemplarze wszystkich dawniejszych czasopism konspiracyjnych). Nie ma „Białego Konia" (pismo humorystyczne, wydawane zimą roku 1940), brak „Warszawianki", brak bodaj pierwszego obok „Pobudki" wydawnictwa „Polska żyje", ludowego „Miecza i pługa" i innych, co pierwsze podjęły trud konspiracyjnego dziennikarswa, by torować drogę następnym.

W sali I-szej (na dole) pokazano wycinki z prasy polskiej i obcej dotyczące działalności i podróży gen. Sikorskiego. Wyłożono także dziennik czynności Generała i inne pamiątki po nim.

Co się tyczy wycinków prasowych, to niestety nie widzimy wszystkiego: napróżno szukałem napastliwych artykułów prasy amerykańskiej (zarówno angielskiej jak hiszpańskiej i portugalskiej) z okresu pobytu Premiera w Meksyku, gdzie skrytykował ostro przedstawicieli „międzynarodówki diamentowej".

Ogółem wystawiono w Instytucie 850 numerów różnych czasopism, przyjmując za zasadę niepowtarzanie tych samych tytułów. Ściany zdobią afisze, gazety ścienne itp. W sali II zwraca uwagę fotograficzne powiększenie odbitki szczotkowej „Orła Białego", na której cenzor sowiecki już w r. 1942 powykreślał z tekstów nazwy miast Wilna i Lwowa, jako tych miast, o które walczą Polacy.

Wystawa jest niestety chaotyczna, katalog zaś (56 stron) nie ułatwia orientacji i wykazuje sporo braków. Zawiera jednak wykazy większości czasopism polskich z okresu 1939 — 1949. Wielka szkoda, że nie dano spisu, — choćby tylko pokazanej na wystawie prasy krajowej. Jest to poważne niedociągnięcie. Mimo to katalog winien się znaleźć w rękach każdego zwiedzającego i w bibliotece każdego kulturalnego Polaka.

Data zamknięcia wystawy nie jest jeszcze ustalona. Zwiedzać ją można w środy, czwartki i piątki w godzinach od 3 pp. do 7 w., w soboty od 11 r. do 5 pp., w niedzielę zaś od 2 pp. do 5 pp.

KRONIKA FILMOWA

»PRZYJDŹCIE DO STAJENKI«

(»Come to the Stable«)

Kto wyobraża sobie, że zakonnica koniecznie musi być smutna i brzydka, niech się wybierze do kina „Dominion" lub do „Nowa Victoria" (West End) na bardzo udany i miły film o dwóch siostrzyczkach, które z olbrzymim zapasem wiary i zapału, ale bez grosza przy duszy, przybywają z Francji do Nowej Anglii i tam, w miejscowości o biblijnej nazwie Bethlehem, postanawiają założyć szpital dla dzieci. Udaje im się to doskonale mimo wielkiej ostrożności amerykańskiego biskupa i piętrzących się trudności. Dziecięca ufność, że każdy ma jak najlepszą wolę udzielenia im pomocy, wielka dzielność i wdzięk osobisty — kobiecy i urzekający, a wcale nie światowy — przezwyciężają wszystkie trudności. Siostrom Małgorzacie (Loretta Young) i Scholastyce (Celeste Holm) pomaga na swój sposób trochę zwariowana i bardzo zabawna artystka, panna Potts (Elsa Lanchester). Pierwszej pomocy pieniężnej udziela im zamieszkały w pobliży kompozytor (Hugh Marlowe) i jego czarny służący (Dooley Wilson). Sprytne siostrzyczki pozyskują dla sprawy mocno podejrzanego typa — Rossi (Thomas Gomez), który daje grunt pod budynek i pieniądze na budowę i tak dzieło miłosierdzia chrześcijańskiego wchodzi na drogę konkretnej realizacji. Film jest bardzo wesoły, pełen zdrowego śmiechu Purytańska krytyka wykrzywiała nawet obłudnie twarze, twierdząc, że nie przystoi zakonnicom urządzać brawurowych rajdów jeepami (jedna z nich jest doskonałą kierowczynią) i narażać się na żarty i zaczepki. Żaden jednak katolik, który wie, że „smutny święty — to kiepski święty", nie zgorszy się dobrze pomyślaną, doskonale zagraną i pełną ruchu i życia historyjką francuskich zakonnic. Oczywiście film zawiera pewne błędy w szczegółach czysto kościelnych, ale można na nie przymknąć oko. Zbyt konwencjonalna i banalna muzyka religijna raczej psuje niż wzbogaca ten bezpretensjonalny obraz, którego urok polega na wspaniałej prostocie przedsiębiorczych siostrzyczek. Czy prawdziwe zakonnice zachowywałyby się właśnie w ten sposób — to już trudniejsze pytanie i aby na nie odpowiedzieć autorytatywnie, trzeba samemu być mnichem. W każdym razie według wszelkiego psychologicznego prawdopodobieństwa zakonnice — Francuski mogłyby być takie, jakimi kreowały je pp. Young i Holm. I może jeszcze Polki. Film wyprodukowała amerykańska wytwórnia „20-th Century-Fox". Reżyseria H. Koster.

„Pinky"

Gdy jakiś reżyser nakręci film sabotujący dekalog — mówi się, że film jest „śmiały w koncepcji" choć należało by użyć słowa „nieodpowiedzialny". Jeśli natomiast film broni zasad przyzwoitości, miłości bliźniego i chrześcijańskiego miłosierdzia, zlaicyzowani krytycy nazywają go nudnym, a czasem kaznodziejskim, choć powinni po prostu powiedzieć, że jest uczciwy. Bynajmniej nie nudnym, ani kaznodziejskim, a właśnie uczciwie walczącym z przesądami rasowymi i porządującym w płaszczyźnie etycznej zagadnienie murzyńskie w Stanach Zjedn." jest film „Pinky", wyświetlany obecnie w kinach południowego Londynu (Astoria w Brixton i Astoria w Streatham Hill). Wytwórni „20-th Century Fox" należy się wdzięczność za nakręcenie filmów takich jak „Gentleman's Agreement" lub „Pinky". Wprawdzie nie wskazują one rozwiązania bolesnych problemów naszej cywilizacji, ale stawiają je uczciwie i szczerze, a to już jest dużo, w płaszczyźnie sztuki może wszystko. „Pinky" jest klasycznym przykładem zastosowania w praktyce wskazań Piusa XI, aby film „dążył do porozumienia i zrozumienia pomiędzy narodami, klasami społecznymi i rasami". Kreacja Jeanne Crain w roli tytułowej jest znakomita, najlepsza w ciągu całej kariery artystycznej tej artystki. Ethel Barrymore w roli bogatego właściciela ziemskiego tyrana i Ethel Waters jako murzyńska babka Pinky — bardzo dobrzy. Reżyser: Elia Kazan.

„ULICA GRANICZNA"

(„That others may live")

W londyńskim kinie zeroekranowym „Cameo-Politechnic" idzie obecnie nagrodzony na festiwalu weneckim w r. 1948 film polski „Ulica Graniczna", nazwany dla Anglików „That Others May Live". Jest to historia martyrologii żydowskiej w Warszawie i powstania ghetta, pokazana w skrócie na dziejach ludzi różnych poziomów społecznych i kulturalnych, żyjących w jednym podwórku. Tragedia ta jest także przeżywana i widziana oczami dzieci, co stanowi pewną nowość w filmie polskim (ale nie zachodnio-europejskim, który wyprodukował bardzo wiele doskonałych filmów dziecięcych).

Jest to film oskarżający rasizm — nie tylko najbardziej okrutną, krańcową postawę antysemityzmu, ale także pośrednio antysemityzm bierny. Jego wartość etyczna i wychowawcza leży w wydobyciu na światło dzienne ukrytych i pozornie nieszkodliwych w bezpośrednim działaniu, a jednak głęboko nieetycznych postaw człowieka wobec bliźniego. Oba te oskarżenia przeprowadzono w sposób odmienny: oskarżenie hitlerowskiego rasizmu jest jawne i jaskrawe, natomiast rozprawa, czy ocena antysemityzmu biernego odbywa się w psychice bohaterów: film pokazuje ich przemiany wewnętrzne, proces przełamywania się rasowej niechęci przeciętnego Polaka do Żyda.

Pod względem artystycznym można postawić filmowi niejeden zarzut. Reżyser Aleksander Ford chciał zbyt wiele pokazać od razu i wskutek tego nie zdołał osiągnąć całkowitej jednolitości akcji i wyrażeń. Odcinają się w filmie dwie warstwy: pierwsza to dzieje Żydów warszawskich zakończone obroną ghetta, druga — to akcja wewnętrzna, psychologiczna — proces uwalniania się od antysemityzmu. Oba wątki mają swoją własną konstrukcję dramatyczną i ta nieskoordynowana podwójność jest błędem w ogólnej koncepcji scenariusza. Z jednej strony skupia uwagę rozwiązanie akcji historycznej, z drugiej katharsis konfliktu wewnętrznego. W rezultacie pointa filmu — scena w kanałach miejskich — traci wymowę uczuciową. Napięcie dramatyczne opada na minutę przed punktem kulminacyjnym.

Jeśli chodzi o ludzi występujących w filmie, to niestety realizatorzy nie pozbyli się całkowicie schematyzacji psychologicznej, szczególnie jaskrawej w postaci Wojtana (Pichelski), zbyt programowej, pozbawionej krwi i kości i w groteskowym (niepotrzebnie) Kuśmiraku.

Słabą stroną filmu są dialogi, chwilami bardzo patetyczne i nienaturalne, rażą dłużyzny (rozwlekły spacer po Wilanowie) i nieścisłości w realiach (piosenka „Warszawskie Dzieci", która pojawiła się w Warszawie w r. 1943 w filmie śpiewana jest w 1940). Nastrój Warszawy w r. 1939 nie został należycie oddany. Muzyka dobrze związana z nienagannymi zdjęciami, dźwięk znacznie lepszy niż w przedwojennych filmach.

Z wykonawców wyróżniają się Godik (stary krawiec żydowski, który staje się prawie symbolem zagłady pewnego typu ludzkiego), Jurek Złotnicki — bardzo naturalny w roli małego chłopca Dawidka i Średka, który ocala źle dialogowaną rolę Natana. Mimo usterek film ten stanowczo godny jest obejrzenia. Przez krytykę angielską został przyjęty nadspodziewanie dobrze.

(sp)

Trzy miliony czytelników

„Książki o Kołymie"

Wydana przez „Veritas" dzięki subskrypcji, ogłoszonej przez ŻYCIE Anatola Krakowieckiego „Książka o Kołymie" zaczyna zdobywać czytelników w — dosłownie — szerokim świecie. Narazie idzie o tzw. prepublikacje prasowe, to znaczy druk wyjątków książki na łamach prasy codziennej, ale fakt taki z reguły toruje drogę wydaniu książkowemu, poprzedza je i reklamuje.

W ostatnich dniach lutego, równocześnie tego samego dnia, rozpoczynają druk wyjątków z „Książki o Kołymie" dwa największe dzienniki zachodnio-europejskie, a mianowicie brukselska „La Libre Belgique" i francuski „Le Figaro". Obecnie została załatwiona sprawa prepublikacji w językach portugalskim i hiszpańskim. Z wielką międzynarodową UPI — Uniao Portuguesa de Imprensa w Lizbonie zawarł autor umowę, przewidującą prepublikację w języku portugalskim na Portugalię, jej kolonie i na Brazylię, oraz na Hiszpanię, jej kolonie i na Argentynę. Agencja lizbońska reprezentuje kilkanaście wielkich dzienników na obu półkulach, a prepublikacja rozpocznie się w pierwszych dniach marca i obejmie siedemnaście rozdziałów książki.

Ponieważ mogłoby to interesować, podamy w swoim czasie wykaz dzienników, które będą drukować „Książkę o Kołymie". Już dziś można powiedzieć, że około trzech milionów czytelników będzie w ciągu siedemnastu dni codziennie czytać wyjątki tej książki, która kilka lat szukała wydawcy, aż znalazła opiekę w naszym piśmie i naszej instytucji.

Wydań książkowych w obcych językach należy się spodziewać w jesieni br.

Autor „Książki o Kołymie" został przez naczelnego redaktora „La Libre Belgique" p. Paul Jourdain, zaproszony w charakterze gościa tegoż pisma. Po odwiedzeniu Brukseli Krakowiecki uda się do Paryża dla odwiedzenia „Figaro" i załatwienia sprawy wydawnictw książkowych.

Tylko sprawa wydania angielskiego ugrzęzła beznadziejnie i nie ma żadnych szans...

KLUB AKADEMICKI w LONDYNIE

Była niedziela. Mgła i grypa szalały w Londynie. Ciotka z Assistance Board powiedziała, że na katar najlepsze jest Aspro a kolega z Ekonomii (oni wszystko wiedzą) powiedział, że najlepszy jest ruch...

Wybrałem to drugie i udałem się do „Orła Białego" na trzecie piętro, gdzie stanąłem przed drzwiami na których widniał zachęcający napis:

Klub Akademicki
Otwarty: dni powszednie 6 — 10
soboty 4 — 10
niedziele 11 — 11

Drzwi otworzyłem z trudem. Natłok tańczących par (właśnie tańczono) parł na mnie... Wg. praw nauk ścisłych przybysz miał większe szanse wypchnięcia się jak wepchnięcia... Stwierdziłem, że łatwiej było dostać stypendium jak dostać się do Klubu studentów.

A oto moje wrażenia: Gromada ludzi płci mieszanej, wykorzystując każdy centymetr kwadratowy cennej „przestrzeni" falowała w takt romantycznego tanga. Od gramofonu dzieliły mnie trzy kroki ale nie mogłem go zobaczyć bo... bo... „proszę nie deptać po nogach!". Właściwie pary stanowiły jedną masę, podzieloną na części ubraniami, co pozwalało stwierdzić, że mamy do czynienia z masą ludzką. Gdyby sardynki w oliwie dostały do swej puszki maleńki adapterek warunki taneczne sardynek byłyby identyczne jak w Klubie Akademickim...

Umeblowanie składało się z paru foteli, stolików z pismami, radiogramu i pieca który podnosił temperaturę w jakiej można ugotować jajka na twardo (if any — jak mówią tubylcy). Sam lokal nie tylko składa się z owego „chamber of horrors" ale posiada drugą izbę w której były stoliki dla brydżystów. Tu panowała niezmącona cisza i skupienie. Ktoś rozgrywał szlemika i leżał jak... opodal kupa płaszczy, szalików i kapeluszy, które zwaliły się z biednego fotela na podłogę.

Przebojem dostałem się do kolegi Andrzeja Wnęka, z zarządu koła Londyn aby zaczerpnąć języka.

„Urządzamy — mówił kol. Wnęk — wieczorki literackie, odczyty (prelegenci i autorzy: talenty własne) robimy co możemy i na co nas jest stać. Braknie nam bardzo współpracy większych rzesz studentów..." W niedzielę przeważnie są potańcówki, w dni powszednie schodzą się koledzy którzy uczą się wspólnie albo udzielają korepetycji. Gospodarzem Klubu jest Kol. Głowacki. Klub opłat członkowskich nie pobiera, do Klubu mogą wejść studenci Bratniej Pomocy PUC i członkowie Zrzeszenia Studentów Zagranicą, koło Londyn (uczący się na angielskich uczelniach) oraz wprowadzeni goście. Niewątpliwie Klub jest miejscem i wspólną platformą, gdzie wszyscy koledzy niedoli akademickiej mogą się spotkać, pogadać i czuć się przyjemnie w swojej atmosferze.

Ja w swoich spostrzeżeniach dodam: Klub Akademicki w tych dwóch pokoikach to tak jak gondola balonu na uwięzi: wokoło duże horyzonty, duże przestrzenie a w środku ciasno...

Naw.

KRONIKA FRANCUSKA

Z PLASTYKI

Z ważnych wypadków ostatniej doby z dziedziny plastyki należy wymienić wystawę w Bibliothèque Nationale w Paryżu obrazującą królewski legat zmarłego niedawno barona Henryka de Rothschild, i którą otworzył 20 grudnia Prezydent Rzeczpospolitej. Wystawa trwa do dziś dnia przy parokrotnej zmianie eksponatów. Chodzi tu o bezcenną kolekcję rękopisów barwnie ozdobionych, najstarszych pierwodruków, rysunków, sztychów, oraz dzieje książkowej oprawy od XVI-go do XVIII-go w. Na pięć pozycji tego legatu (zbieranych przez trzy pokolenia Rothschildów) mieści Galeria Mazarin'a jednocześnie tylko 500 eksponatów, pomnożonych wyborem autografów, rozwieszonych na ścianach, a pochodzących z dawniejszego daru tegoż Henryka de Rothschild. Najstarszy eksponat to wspaniale ozdobiony kolorowymi winietami brewiarz z 1400 roku, przeznaczony dla króla Aragońskiego. Oryginalne rysunki Eisena, Bouchera i Moreau — ilustracje do dzieł La Fontaine'a, Molière'a, Rousseau i i. oraz najznakomitsze dzieła pisarzy francuskich i obcych w bogato, złotem wytłaczanych skórzanych i pergaminowych oprawach stanowią klejnoty tej kolekcji włączonej od niedawna do narodowego skarbca Francji.

*) W tejże Bibliotece Narodowej na rue Richelieu (Galerie Mansart) wystawiony jest obecnie wybór sztychów francuskich od 1500 do 1800 r., tworząc, zwłaszcza w dziedzinie satyry, zbiór autentycznych dokumentów dla każdej epoki. Mamy tu więc, na przestrzeni wieków, zobrazowaną satyrę społeczną, moralną, polityczną, albo religijną (na obsesję grzechu, kar piekielnych, na nadużycia kleru itp.) Wytknięte jest ubóstwo artystów a także przesadne stroje XVIII-towieczne, spiętrzone fryzury kobiece i t.p. W okresie Wielkiej Rewolucji sztych równa się pamfletowi ośmieszającemu artystów, królów i hierarchię kościelną.

*) W Musée de l'Orangerie (Tiulerie) można oglądać teraz wystawę francuskiego rysunku **(Dessein Français de Fouquet à Césanne)**, która objechała najprzód stolice Belgii i Holandii. Trzon tych eksponatów dostarczyły oczywiście zbiory Louvre'u. Są to dzieła Cloueta, Poussina, Cl. Le Lorraina, Watteau, Fragonnarda, Bouchera a także kartony i szkice Dawida, Ingres'a, aż po Degasa i Renoira. Istotnie, chyba żaden kraj poza Francją nie wydał takiej skali stylów rysunkowych piórkiem, węglem, sangwiną i nie dowiódł że wszystko można streścić, wszystko wyrazić kilku liniami na białej karcie papieru.

*) Pod tytułem **Réminiscences** otwarto w Musée Galliera wystawę stanowiącą pewnego rodzaju hołd pośmiertny dla kilku artystów z przed pół wieku, dziś nawpół zapomnianych. Na ten pokaz składają się po większej części rysunki i szkice, które nigdy nie wyszły poza pracownie ich twórców, mianowicie Boldiniego, Helleu, De Feure, Forain'a, Jean Webera, L. Capriello, a zwłaszcza Willette'a i Steinlena. Rysunki Willette'a godne są dobrych rysowników XVIII-go wieku, a Steinlen celował w oddaniu typów i życia ulicy paryskiej: robotników, gryzetek, żołnierzy. Nowoprzybyli do Paryża około 1900 roku Picasso i Van Dongen obrali go sobie za mistrza.

*) Po tylu innych znakomitych rysownikach którzy ilustrowali **Bajki** La Fontaine'a André Derain ukończył obecnie 68 oryginalnych litografii, wystawionych u Marcela Sanka, a mających raz jeszcze uplastycznić współczesnym dzieło wielkiego bajkopisarza.

*) Ostatnią sensacją sezonu malarskiego to wystawa zorganizowana w galerii Charpentier na Faub. St. Honoré zatytułowana „Sto portretów kobiecych". Są to obrazy sprowadzone częściowo z prowincjonalnych muzeów, częściowo wydobyte z prywatnych zbiorów, a obejmujące znów szereg wieków, począwszy od kilku niezidentyfikowanych płócien w stylu włoskiego renesansu, portretu Katarzyny Furleger Dürera, kilka Clouetów, — a kończąc na Chagallu, Bonnardzie i Matissie, od oficialnych portretów panujących, od dam w robronach, klejnotach i pudrowanych perukach od wyanielonych dziewic do mieszczek, wieśniaczek, aktorek i tancerek. Imponujący pokaz, gdzie można znaleźć wszystkie style, faktury i gamy barw, gdzie możemy oglądać mistrzów nad mistrze jak Rubensa, Davida, Delacroix, Goyę obok skromnych rodzinnych, całkiem nieznanych portretów Milleta, kobiet Courbeta, Corota do wspaniale brutalnych Toulouse Lautreców, olśniewających Renoirów, niesamowitych Modiglianich, aż do Zuloagi, Jacques Emile Blanche'a i nawet jednego salonowo efekciarskiego Carolus Duranda!

Wystawa portretu Kobiecego u Charpentier jest atrakcją nie tylko dla artystów, pociąga też historyków stylu i stroju aż do modystek, jak również wielbicieli „wiecznej kobiecości".

*) W Galerii Maeght jest przygotowywana wystawa najnowszych dzieł Georges Braque'a, który rzadko występuje publicznie, a mianowicie tylko wtedy, kiedy ma coś nowego do powiedzenia. Ten spodziewany pokaz wywoła niezawodnie ożywioną dyskusję, w której ścierać się będą realiści i abstrakcjoniści.

*) Wielka wystawa Sztuki Włoskiej p.t. **Venise au XVIII s.** jest zapowiedziana na wiosnę w Petit Palais.

*) Maximilien Gauthier wierny wyznawca niezwykłego, naiwnego nowatora malarskiego Rousseau (zwanego Celnikiem) ogłosił w kolekcji „Les Gémeaux" biografię malarza, w której wyjaśnia niektóre legendy dotyczące jego osoby. Dzieło będzie ilustrowane dwudziestu reprodukcjami obrazów Rousseau.

*) Daniel Rops wielki erudyta i znakomity autor szeregu dzieł na tematy ewangeliczno-historyczne **(Le Peuple de la Bible, L'Eglise des Apôtres et des Martyrs, Mistiques de France**, a zwłaszcza **Jesus en son Temps**) wyświetlił po raz pierwszy 6-go lutego w lokalu prywatnym i na korzyść studenckiej organizacji katolickiej swój film zatytułowany **Ewangelia w Kamieniu**, film ilustrujący Historię Świętą najpiękniejszymi rzeźbami katedr francuskich.

Tim.

Paryż 18.II.50 r.

STARE KLISZE — NOWE CZASY

„Kawał" wyborczy p. Churchilla nie jest nowy. Prezydent Truman też chciał przekonać wyborców, o swym pacyfizmie, to też rozpuszczono przed głosowaniem pogłoskę, że członek Sądu Najwyższego sędzia Vinson będzie w razie wyboru Trumana wysłany do Moskwy dla rokowań ze Stalinem.

Pan Churchill poszedł widocznie w ślady Trumana. Zszyte to jest białymi nićmi, bo trudno uwierzyć, by zalecenie było szczere a wspomnienia z rozmów Wielkich Trójek — nie mogły pozostawić u brytyjskiego męża stanu innego wrażenia, jak te, że został on każdorazowo, gdy w nich uczestniczył, nabrany. Wie on zanadto dobrze, że dogadanie się ze Stalinem mogło by być jedynie oparte na rzeczywistej kontroli — produkcji atomowej w Rosji, a wie również doskonale, że siła systemu sowieckiego polega na wykluczaniu wszelkiej nad nim kontroli.

Ale przecież chodzi tu nie o bombę atomową lecz o bombę wyborczą. Pan A. Lennox-Boyd konserwatywny kandydat starał się wykorzystać jej wybuch jak najlepiej i tak przemawiał do słuchaczy: „Nie ma Brytyjczyka, który by miał większe szanse od Churchilla do zamknięcia ust Stalinowi, do zmuszenia go do słuchania, powiedzenia czasem — tak i omówienia sprawy."

Wynikało by z takiego oświadczenia, że każdy inny Brytyjczyk ryzykuje, że Stalin ust nie zamknie, nie będzie słuchał, powie czasem „nie" i sprawy omawiać nie będzie. W ten właśnie sposób toczyła się ostatnia rozmowa Churchilla ze Stalinem przed pięciu laty w Jałcie. Stalin pamięta, że tak rozmawiając doszedł w Europie do Łaby. Nie może chyba o tym i p. Churchill zapominać.

* * *

W SPRAWIE zapewnienia światu pokoju poważniej od zaleceń wyborczych p. Churchilla wyglądają mowy generała Eisenhowera i lorda Boyd Orra b. dyrektora FAO (organizacji Zjedn. Nar. dla spraw rolnictwa i wyżywienia).

„Szkoda czasu dla rozmów o pokoju, oświadcza Eisenhower, gdy tyle ludzi na świecie na skutek głodu gotowi są popełniać zbrodnie, by zdobyć trochę tłuszczu dla siebie i rodziny." Lord Boyd Orr ze swej strony dodaje: „Połowa ludności świata otrzymuje połowę racji żywnościowej Brytyjczyków. Moskwa to wykorzystuje. Ludzie głodu pytają Moskwę: — Czy nas nakarmicie? Moskwa odpowiada— tak!

Gdy jedni mają za mało i nic dotąd nie zostało zrobione w odpowiedniej skali przez świat zacodni, by temu zaradzić, ci którzy mają za dużo zastanawiają się od pewnego czasu dlaczego befsztyki w Ameryce zawierają w sobie mniej kalorii, niż to dawniej bywało? Drogo musiały kosztować naukowe badania nad tym zagadnieniem. Przeprowadzone one jednak zostały w Instytucie Technologicznym w Chicago, a to dzięki dotacjom „Armour Research Foundation". Okazuje się, że w pewnych okolicach ziemia już nie posiada dostatecznych ilości takich składników, jak kobalt, mangan, cynk i jod. Brak ich w paszy zmniejsza zalety kaloryczne najbardziej soczystych befsztyków.

Czyż nie ma większych zmartwień w erze atomowej? Niebezpieczeństwa dla ludzkości wynikają nie z pogorszenia się befsztyków, ale z pogarszania się losu tych, którzy befsztyków w ogóle nie jadają.

* * *

WEDŁUG obliczeń ilośc mów wyborczych przekroczyła 10.000. Niektóre wynurzenia bywały dość nieostrożne z punktu widzenia tez wysuwanych przez przemawiających kandydatów. Tak naprzykład p. Attlee w jednej ze swych ostatnich mów powiedział: „Wspólnota brytyjska nie ma w sobie nic statycznego. Jest ona organizacją żywą giętką przystosowującą się do potrzeb swych członków".

Ostatnie wiadomości nadchodzące z Południowej Afryki i Australii wskazują, że dążenia do wykorzystania tej właśnie organizacyjnej giętkości przybierają coraz większe rozmiary. Optymizm p. Attlee był nieuzasadniony bo wiadomo, kto koszty przystosowania się Matki do potrzeb swych własnych dziatek pokrywać będzie. Premier Południowej Afryki p. Malan oświadczył przed kilku dniami, iż należy zastąpić mianowanego Generalnego Gubernatora przez prezydenta wybranego przez naród. Rozumiemy jakie rozluźnienie stosunków w wyniku takiej zmiany nastąpi.

Proces „przystosowania się do własnych potrzeb" w Australii może jeszcze drożej kosztować. Nowy konserwatywny premier p. Menzies oświadczył, że córeczka nadal ma zamiar stać się bardziej niezależną szczególnie w nawiązywaniu ze światem handlowych stosunków. Plany wydają się dość rozległe. Przy zawieraniu nowej 15 letniej umowy na dostawy mięsa do W. Brytanii, Australia ma zastrzec sobie prawo wysyłania mięsa do Stanów Zjedn., bo się okazało, że za funt baraniny może tam w dolarach otrzymać aż 5 shillingów. Zamiast szukać benzyny na obszarze szterlingowym znajdzie ją w Japonii w korzystnej wymianie za wełnę. Amerykanie gotowi są zbudować w Australii rafinerie nafty a są nadzieje, że uda się siarczan amoniaku sprowadzany dotąd z W. Brytanii otrzymać z Rosji. Wobec tak szerokich perspektyw odrzucono radę Londynu wprowadzenia ograniczeń w użyciu benzyny i nowym hasłem w polityce gospodarczej staje się slogan: „Mama nie wie wszystkiego najlepiej!"

Trzeba postanowić za wczasu

Wielu Polaków z Wielkiej Brytanii wybiera się na Rok Święty do Rzymu. Jak wiadomo Instytut Polski Akcji Katolickiej zorganizował 6 pielgrzymek. Okazji więc nie brak, a że koszta przejazdów nie są wygórowane, zwłaszcza jeśli chodzi o przejazdy autobusowe (firma autobusowa została wybrana drogą konkursu), należy za wczasu pomyśleć o terminie wyjazdu.

Pielgrzymki autobusowe są dwutygodniowe, z niezmiernie interesującą trasą, obejmującą także Monte Cassino, Assyż, Loretto, Anconę, Bolonię, Padwę, Mediolan, Turyn i Paryż. Pielgrzymki kolejowe są 9-dniowe.

Koszta pielgrzymki autobusowej, a więc wyrobienie dokumentów, podróż w obie strony, wyżywienie i noclegi oraz przejazdy na terenie zwiedzanych miast wynoszą **tylko £. 35**. Na pierwszą, która wyrusza w kwietniu, lista już jest zamknięta. Aktualna w tej chwili jest pielgrzymka majowa **od 13 do 26 maja**. Zapisy: do dnia 1 marca b.r. Następna autobusowa, trzecia z kolei, również kosztująca £. 35 odbędzie się w dniach od **25 sierpnia do 7 września**. Termin zgłoszeń: do 30 czerwca.

Jest rzeczą bardzo ważną, aby każdy pragnący wziąć udział w pielgrzymce we własnym interesie zgłaszał się jak najprędzej, nie czekając ostatniego terminu. Miejsca w autobusach bowiem przydzielane są w miarę napływających zgłoszeń.

Terminy pielgrzymek kolejowych są następujące: 5 — 13 kwietnia, lista zgłoszeń już zamknięta. Druga: **15 — 23 maja**; termin zgłoszeń do **1 marca**. Trzecia: **28 sierpnia do 7 września**; termin zgłoszeń do dnia **30 czerwca**.

Opłata wynosi £. 26: przejazd w obie strony wraz z wyrobieniem dokumentów, wyżywienie i noclegi w Rzymie i Monte Cassino wraz z przejazdem na Monte Cassino. Natomiast wyżywienie na terenie Londyn — Rzym — Londyn — na koszt własny.

Punktem wyjazdowym wszystkich pielgrzymek jest Londyn.

Wszystkich potrzebnych informacji udziela X. mgr. Henryk Kornacki, 17, Penywern Rd., London S.W.5 listownie lub osobiście pod tym samym adresem od godz. 10 — 12,30 codziennie z wyjątkiem niedziel. Tu też należy kierować zgłoszenia.

ZAPISKI LONDYŃSKIE

Brytyjskie wydarzenia kulturalne ostatniego okresu

3.000 STUDENTÓW Z KOLONII

W chwili obecnej na uniwersytetach Wielkiej Brytanii odbywa studia ponad 3.000 studentów z kolonii brytyjskich (Murzynów, Malajów itd.). Prawie wszyscy otrzymali w tym celu odpowiednie stypendia. Studia te posłużyć im mają do objęcia stanowisk w administracji, samorządzie lokalnym, związkach zawodowych, spółdzielczości i innych dziedzinach życia publicznego ich krajów. Akcja ich kształcenia pozostaje w ścisłym związku z rozszerzaniem praw tubylców, także w posiadłościach brytyjskich na terenie Afryki, z których niektóre prawdopodobnie osiągną w niedalekiej przyszłości statut, zbliżony do dominalnego.

W samych koloniach także powstają uniwersytety i kolegia uniwersyteckie (University colleges). Na Malajach założony został niedawno uniwersytet, a w Indiach, Nigerii, na Złotym Wybrzeżu i w Ugandzie powołano do życia kolegia uniwersyteckie.

MAJOR BEAMISH O EUROPIE ŚRODKOWO-WSCHODNIEJ

Znany obrońca praw Polski w Izbie Gmin i na zebraniach publicznych, major Tufton Beamish przygotowywał od pewnego czasu źródłową książkę o tragicznym losie narodów Europy Środkowo-Wschodniej w latach ostatnich i o metodach, jakimi posługują się Sowiety dla zupełnego wchłonięcia tych narodów. Książka ta ukazała się obecnie nakładem firmy Hollis and Carter pod znamiennym tytułem „**Must Night Fall?**" (Cena 12s. 6d.) Najdłuższy jej rozdział, obejmujący okres od r. 1939 do końca r. 1948, poświęcony jest Polsce; inne rozdziały dotyczą Bułgarii, Węgier i Rumunii, w rozdziałach zaś końcowych autor charakteryzuje sowietyzację wymiaru sprawiedliwości, policji i sił zbrojnych tych krajów, oraz walkę, jaką rządzący nimi komuniści prowadzą z religią i organizacjami kościelnymi.

Wywody książki oparte są o bardzo starannie zebrany materiał faktyczny. W słowie wstępnym major Beamish podkreśla, że dwa źródła miały dlań szczególną wartość: biuletyny agencyj „Continental News Service" i „East Europe".

W zakończeniu autor wzywa mocarstwa zachodnie do prowadzenia polityki, opartej o zasady moralne, tylko tą drogą można bowiem odeprzeć niebezpieczeństwo, idące od wschodu.

Przedmowę do książki napisał znany polityk konserwatywny, Harold Macmillan.

POD ADRESEM POETÓW

W „Observerze" z d. 19 lutego wybitny krytyk literacki Ivor Brown ogłasza surową admonicję pod adresem współczesnych poetów angielskich. Stwierdza on, że publiczność brytyjska prawie że przestała kupować poezje; liczba rozsprzedanych egzemplarzy nowego zbioru poezji — jak stwierdzają księgarze — nie dochodzi nawet 200, jest więc śmiesznie niska. Jeden czy dwa wyjątki potwierdzają tylko tę regułę.

W tych warunkach znalezienie wydawcy dla zbioru poezji staje się rzeczą niemożliwą. Wysunięta została świeżo propozycja, by tzw. Arts Council, zajmująca się rozdziałem subsydiów państwowych na cele kulturalne, zapewniła wydanie co rok pewnej liczby, np. dziesięciu, tomików poezji. Brown jest temu przeciwny, uważa bowiem, że obecna „niepokupność" zbiorów poezji jest wynikiem winy samych poetów, których utwory są zbyt skomplikowane, intelektualne i jałowe i którzy przywykli do przemawiania własnym prywatnym językiem, zupełnie nie zrozumiałym dla innych.

„Nikt — pisze Brown — nie domaga się tego, by pokolenie po pokoleniu używało tego samego rytmu i sposobu wypowiadania się... Jeśli jednak przemiany w stosunku do tradycji są tak radykalne, że powodują zupełną niezrozumiałość, poeci nie powinni narzekać na ciężkie czasy, jakie sami świadomie ściągnęli na siebie".

Brown przypomina również, że dawniej tomy poezji osiągały często bardzo wysokie nakłady. Jako przykład przytacza poezje Byrona, Browninga, Kiplinga, Chestertona, Belloca. „Korsarz" Tennysona rozszedł się w 10.000 egzemplarzy w ciągu jednego dnia, a Idylle królewskie" tegoż poety osiągnęły tę samą liczbę sprzedanych egzemplarzy w ciągu miesiąca.

Artykuł Browna wywoła niewątpliwie repliki.

NAJLEPSZA POWIEŚĆ POLITYCZNA

Przemawiając w BBC w ramach serii, poświęconej powieściopisarzom angielskim, lord David Cecil sławił geniusz pisarski Waltera Scotta. Wypowiedział przy tym opinię, że „Old Mortality" Scotta jest najwspanialszą powieścią polityczną świata.

Przeciw twierdzeniu temu zastrzega się recenzent „The New Statesman and Nation", Michael Innes; na pierwszym miejscu wśród powieści politycznych stawia on „**Nostromo**" Conrada, — powieść, którą niedawno przeczytał ponownie.

WYSTAWY W LONDYNIE

W Lefevre Gallery (131-134, New Bond Street, W. 1) wystawia szereg rzeźb i rysunków zdolna artystka brytyjska, Barbara Hepworth.

W Walker's Galleries (118, New Bond Street), wystawiane są greckie rysunki gwaszem Maro Vatimbella.

GIEŁGUD O O. WILDE

Ukazuje się nakładem firmy Heinemann seria książeczek, zawierających teksty sztuk teatralnych z przedmowami napisanymi przez reżyserów lub aktorów, którzy brali udział w przedstawieniu tych sztuk. Świeżo ukazał się tekst Komedii Oskara Wilde'a „The Importance of Being Earnest" z przedmową znanego aktora pochodzenia polskiego, Johna Giełguda. Giełgud wielokrotnie reżyserował tę sztukę i grał w niej główną rolę.

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: **Veritas Foundation Publication Centre.** Adres redakcji i Administracji: **Polish Weekly ŻYCIE, 12 Praed Mews, London W 2.** Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 6879. Drukarnia: PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt **tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł.** Administracja czynna **codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17** — z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja **żadnych rękopisów nie zwraca.** W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. **Prenumerata** płatna jest z góry i wynosi: **miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie wpłaty** przekazywać należy Postal lub Money orderami, względnie czekami bankowymi **„crossed"**, wystawionymi na Veritas Foundation Publication Centre. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam £ 1; w **tekście** 50% drożej, na stronie **tytułowej** 100% drożej. **Prenumerata zagraniczna:** SZWECJA: miesięcznie 3.50 kr., kwartalnie 10.00 kr. Przedstawiciel: Mgr. Bożysław KUROWSKI. Anggatan 6 c, Lund, Sverige, Sweden. NIEMCY: miesięcznie 2.50 DM. kwartalnie 7.00 DM. ARGENTYNA: kwartalnie 12 peso półrocznie 24 peso. Przedstawiciel: J. MIECZNIKOWSKI & T. DĄBROWSKI Składnica Książki Polskiej. Av. Leandro N. Alem 641 — Buenos Aires.

Printed by: „Veritas Foundation Press" 12, Praed Mews, London W. 2. Tel. PAD. 9734.